Nr. 13. Warszawa, dnia 15 (27) Marca 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy termin odnowienia przedpłaty.

POLITYKA.

ANTISEMITYZM.

Zaczęte jeszcze w lutym, w dwustopniowej kuryi włościańskiej, czyli mniejszej własności, w tym tygodniu dopiero ukończone będą. Z pomocą nowej machiny wyborczej dokonane, nowe też, a na wielu punktach niespodziewane, dały wyniki. Po raz pierwszy stanęły do walki nowe bataliony uprawnionych, zaciągnięte w najniższych, ekonomicznie najuboższych, społecznie najzależniejszych warstwach ludności pojedyńczych krajów koronnych. Po trzyletnich zapowiedziach i próbach, przy których rozbił się hr. Taaffe, rozbicia się może pragnąc, w roku przeszłym, już za prezesowstwa p. Kazimierza Badeniego, Rada państwa wytworzyła z tych warstw kuryę V-tą, dla tych wszystkich, którzy do czterech dawniejszych wejść nie mogli, z braku wymaganego stanu społecznego. Dano jej 72 przedstawicieli w Izbie deputowanych, której *plenum* przez nowy przybytek wzrasta z 353 do 425 głów — a przynajmniej głosów.

W chwili, kiedy to piszemy, wybory nie są jeszcze ukończone, liczb zbliżonych nawet do ostatecznych nie znamy, bo kurye wielkiej własności ziemskiej i miast czynności swe nie we wszystkich jeszcze krajach koronnych pokończyły. Mamy już przecież sumę trzystu wybranych, a najbardziej zajmującą kuryę V-tą w zupełności. Jaki fakt przyniosły wybory? Kogo, jakie stronnictwo wybrał lud, bez roli, bez domu, bez jutra, lud pracujący, najemny, robotniczy? Zapewne, po miastach przynajmniej, zwłaszcza w przemysłowych rdzennie austryackich prowincyach, szczególnie w Wiedniu — socyalistów? Wcale nie! W Austryi właśnie historycznej, habsburskiej, ani jeden socyalista nie przeszedł. Więc kto? Luegerzyści. Prześladowany przez rząd wice - burmistrz Wiednia jest bohaterem dnia, a bohaterstwo to stało się odrazu tak imponującem, że rozchodzą się już prawdopodobne pogłoski o zatwierdzeniu go na urzędzie burmistrza, jeśli go nań rada miejska powoła.

Ten wzrost antisemityzmu jest wypadkiem znamiennym, a smutnym. Chrześciaństwo, zrzekające się walki o ideały moralne, zostawiające pracę nad człowiekiem wewnętrznym, do której je powołał był przed dziewiętnastu wiekami założyciel — staje do walki społecznej w imię miłości bliźniego — z bliźnim. Tego bowiem tylko kroty w norach siedzące nie widzą, że cały chrześciański socyalizm anti-semityzmu jest jedynie szyldem nad sklepem, w którym mieści się dystrybucya nienawiści do Żydów, do ich kapitałów, do ich ekonomicznych stanowisk, *per fas et nefas*, co prawda, zdobywanych nie bezprawnością zdobyczy wszakże, ale ogromem bogactw oburzających te roty obrzydłego egoizmu. Główną ideą, która je porusza, jest zazdrość: Żyd ma to, co ja-bym mieć powinien — hejże na Żyda! A chrześciański socyalizm służy tylko za wędkę do chwytania ciemnego ludu. I lud się chwyta i głosuje na Luegerzystów.

Żydzi się obronią, dadzą sobie radę i na wierzch wypłyną; ujmować się za nimi nie potrzeba; na hasło bojowe tego bękarciego idealizmu, z jakim paradnje antisemityzm, mają gotową odpowiedź: I mnie wydrzesz i sam mieć nie będziesz, a co zyskasz na mnie, to do mojej powróci kieszeni, bo sztuka robienia pieniędzy — fałszywych czy prawdziwych, jest moją, odwieczną, od babilońskich, od egipskich może jeszcze czasów. Takby istotnie stać się musiało, gdyby wybory nienawistne dla Żydów w rzeczywistości cokolwiek Żydom wydrzeć zdołały. Wydzierają one co innego, coś od bogactw wyższego i komu innemu, nie Żydom. Temu samemu ludowi, który do zwycięztwa prowadzą, wydzierają — sumienie, moralnie go znieprawiają, umysłowo upośledzają, rozbudzają w nim popędy zmysłowe, zwierzęce, przeciwspołeczne. Jedynym pewnym skutkiem anti-semickiej epopei jest obałamucenie, zepsucie, zanieczyszczenie serc, zagwożdżenie głów — wsteczniectwo i zaraza moralna.

Socyalistów wybrano w całem państwie przedlitawskiem piętnastu: na Czechy przypadło 7, na Morawy 4, na Szląsk 1, na Galicyę 2; na Austryę Niższą ani jeden. Pogrom Żydów musiał się ujemnie odbić i na liberałach; do nowej Izby wejdą znacznie już uszczuploną, zawsze jednak jeszcze liczną gromadą. Nikt boleć nie będzie nad losem liberalizmu wiedeńskiego lub czesko - niemieckiego; można mieć tylko obawę o pewną otworzystość

poglądów, warunkujących postęp, które się w osłonie tego liberalizmu niewątpliwie ukrywały. Głosowanie liberalnych za socyalistami przeciwko narodowcom, jak np. na Szląsku, gdzie przepadł Cienciała, ujawniło tylko niespożytą siłę tego centralistycznego niemiectwa, które ciągle jeszcze z Wiednia chce dławić energią żywiołów narodowych w krajach koronnych. *Habeant sibi.*

Klerykalizm w Austryi.

II.

Nie zadawalając się samym rozpowszechnieniem już wydanych książek i broszur, „Vlast'“ stara się zachęcać młodych pisarzy do działalności literackiej w duchu klerykalnym. W tym celu założyła specyalny „fundusz dla pisarzy katolickich.“ Zbierając ten kapitał, kierownicy myśleli przedewszystkiem o pisarzach świeckich. Partya katolicka powinna być zawsze i wszędzie niezależną — mówili oni — tymczasem istnieją autorowie przejęci „prawdziwie katolickim duchem,“ którzy nie mogą uczestniczyć w wydawnictwach katolickich, ponieważ zależą od osób lub instytucyj, wrogo względem katolicyzmu usposobionych. Ci to właśnie autorowie powinni znaleźć poparcie w stowarzyszeniu „Vlast',“ które dąży do tego, aby każdy z nich miał pewność, że na wypadek choroby, starości lub jakiegoś starcia ze sferami „antikatolickiemi,“ nie będzie pozbawiony pomocy.

Każdy młodzieniec, objawiający pewne zdolności literackie i życzący sobie pisywać w duchu katolickim, może liczyć na stypendyum „Vlasti,“ która sama już się stara, ażeby jej pupil zajął odpowiednie stanowisko. „Fundusz dla pisarzy katolickich“ wypłaca corocznie pewną sumę za najlepsze prace, przysłane na konkurs. Następnie zarządzający tym „Funduszem“ usiłują pozyskać pożądany materyał literacki na dodatki do miesięcznika „Vlast',“ wspierają katolickie „Kółko historyczne“ itd.

Aczkolwiek statut „Vlasti“ powiada, że ona całkiem usuwa politykę, jednakże to wcale nie przeszkadza stowarzyszeniu zajmować się nią pod pozorem działalności „społecznej.“ Do energicznego podjęcia kwestyi społecznej zmusiła klerykałów wciąż wzmagająca się w Czechach agitacyo demokratów społecznych. Duchowieństwo spostrzegło, że ludność robotnicza coraz bardziej ulega tej ostatniej, to też postanowiło ze wszystkich sił jej przeciwdziałać. Klerykałowie rozpoczęli od tego, że starali się nakłonić księgarzy do niesprzedawania broszur, wydanych przez demokratów społecznych i nieprzyjmowania prenumeraty na organy partyi robotniczej. Wielu, zwłaszcza tych, którzy ciągnęli dochody z handlu wydawnictwami klerykalnemi, musiało usłuchać tej rady.

Taką, czysto obronną taktykę klerykałowie wkrótce zmienili na inną, zaczepną. Członkowie „Vlasti“ postanowili nawiązać ściślejsze stosunki z robotnikami i ludnością uboższą wogóle, zakładać Towarzystwa pomocy ubogim, kuchnie tanie itd. Zapoznawszy się bliżej z robotnikami, zrozumieli, że zorganizowanej propagandzie społeczno - demokratycznej należy przeciwstawić taką samą robotę w duchu katolickim. To też „Vlast'“ zaczęła rozrzucać w ogromnej ilości egzemplarzy napisane na ten cel broszury: „Słowo prawdy,“ „Kiedy człowiek jest prawdziwie nieszczęśliwym,“ „Socyalizm a chłopi,“ „Encyklika Leona XIII o kwestyi socyalnej“ itd.

W roku 1871 z inicyatywy biskupa Brynycha zwołano zjazd Towarzystwa czeladników katolickich Czech, Moraw i Szląska. Na wiecu tym postanowiono wysłać papieżowi adres dziękczynny za jego encyklikę „Rerum novarum.“ Wkrótce zebrano 12,000 podpisów, pomimo że organa partyi robotniczej prowadziły bardzo namiętną i energiczną kontragitacyę. Kiedy przypomnimy sobie, że takiż sam adres od robotników francuskich był podpisany tylko przez 20,000 osób, wówczas zrozumiemy, jakim wpływem cieszy się „Vlast'.“

W miarę tego, jak jej stosunki z klasą pracującą rozszerzały się, pojęła ona, że walczyć z partyą społeczno-demokratyczną można tylko wówczas, kiedy jej organizacyom przeciwstawi się klerykalną organizacyę robotniczą, jej prasie — klerykalną prasę robotniczą. Wskutek tego „Vlast'“ porozumiała się z wydawcą dziennika klerykalnego *Czech*, który zobowiązał się do wydawania osobnego dodatku dla rzemieślników i robotników, poświęconego sprawom społecznym i walce z agitacyą socyalno - demokratyczną. Dodatek ten po trzech latach istnienia przekształcono na organ samodzielny *Dělnické Noviny*.

We „Vlasti“ powstała odrębna komisya, której zadaniem było zajęcie się kwestyami społecznymi i kierowanie *Dělnickimi Novinami*. Dzięki umiejętnej agitacyi, pisemko to ku końcowi pierwszego roku istnienia miało już przeszło 3½ tys. prenumeratorów. W miarę rozpowszechniania się *D. Novin* rozszerzała się też działalność komisyi społecznej „Vlasti.“ Zaczęła ona zwoływać na prowincyi zgromadzenia, na których wygłaszano odczyty o różnych zagadnieniach socyalnych i dowodzono potrzeby zorganizowania czysto-katolickiego stronnictwa robotniczego. Wykłady te w ostatnich czasach mnożą się ogromnie, a niektórzy z księży, należących do komisyi społecznej, objawiają zdumiewającą energię, jeżdżąc po miastach, miasteczkach i wioskach i wygłaszając po kilkadziesiąt odczytów na rok. Treść ich jest dość jednostajna. Oto tematy główne: „O socyalnych demokratach,“ „O konieczności organizacyi chrześciańsko-społecznej,“ „O encyklice Leona XIII-go,“ „O maszynach,“ „O polepszeniu doli robotniczej,“ „O anarchizmie i ateizmie“ itd. Niekiedy wykłady te odczytywano bywają w lokalach rozmaitych chrześciańskich stowarzyszeń robotniczych i rzemieślniczych, czasem zaś na wiecach publicznych. Te ostatnie bywają zwoływane wyłącznie tam, gdzie agitacya klerykalna czuje pod nogami grunt pewny i nie bardzo lęka się przeciwników.

Odczyty podobne znacznie wpływają na ożywienie tych katolickich stowarzyszeń rzemieślniczych i robotniczych. Po każdym wykładzie ilość członków stowarzyszenia znacznie wzrasta, jak również liczba prenumeratorów pism klerykalnych. Obecnie oprócz *D. Novin* na ziemi czeskiej wychodzi jeszcze kilka organów podobnych, jak *Dělnik*, *Obrana Prace*, *Dělnicke Zajmy* itd. Wszystkie powstały pod wpływem przykładu, danego przez „Vlast.“

Dąży ona do tego, ażeby zogniskować w jednym punkcie cały ruch chrześciańsko-socyalny, kierowany dotychczas przez różne osoby i instytucye. Ruch ten opiera się na „Towarzystwach czeladników katolickich,“ znajdujących się pod protektoratem kardynała Hruschy. Istnieją one nietylko w Czechach, ale także i w innych prowincyach Austryi. Główne ich zadanie polega na „chrześciańskiem“ wychowaniu rzemieślników i robotników i wzmocnieniu w nich wiary katolickiej. Kierownicy towarzystw starają się, ażeby członkowie unikali ludzi i instytucyj, które mogą w nich „zabić moralność i wiarę,“ uczyli się religii i „innych niezbędnych przedmiotów,“ czytali „dobre“ książki, znajdujące się w bibliotekach towarzystw i wypełniali jak najskrupulatniej obowiązki swego wyznania, tj. bywali u spowiedzi itd. „Towarzystwa czeladników katolickich“ znajdują się we wszystkich głównych miastach Czech, Moraw i Szląska, a niektóre z nich posiadają znaczne fundusze, mają własne domy, zasobne księgozbiory, utrzymują kaplice i kapelanów. Wszystkie znajdują się w ręku duchowieństwa, a do nielicznych wyjątków należą takie, w których prezesem jest osoba świecka. Zwykle w Towarzystwie, posiadającem dom własny, istnieje rodzaj hotelu, gdzie członkowie, przyjeżdżający z miast innych, otrzymują bezpłatny lub, w każdym razie, bardzo tani nocleg.

Tam, gdzie takie Towarzystwo rozwinęło się już znacznie, powstały osobne stowarzyszenia uczniów rzemieślniczych. W małych miasteczkach duchowieństwo zakłada „Towarzystwa katolickich młodzieńców i mężczyzn,“ znajdujące się pod opieką miejscowego biskupa.“ Oprócz tych organizacyj istnieje jeszcze cały szereg innych, dążących do osiągnięcia podobnych celów i kierowanych przez księży. Główny, a właściwie nawet jedyny zastęp przeważnej większości towarzystw stanowią rzemieślnicy; co do robotników fabrycznych, to tylko drobna ich część znajduje się w obozie klerykalnym.

Jednakże nie traci on nadziei, że z czasem i robotnicy do niego przejdą. R. 1893 w Pradze został założony „Klub politycznych robotników katolickich.“ Instytucya ta pędzi żywot marny, pomimo poparcia materyalnego ze strony duchowieństwa. Księża zorganizowali w klubie specyalny kurs wymowy, chcąc przygotować agitatorów klerykalnych, którzyby mogli polemizować na zgromadzeniach z demokratami społecznymi.

Wszystkie te towarzystwa utrzymują stałe stosunki między sobą. Od czasu do czasu bywają organizowane wiece, na których rozbierane są sprawy, dotyczące wewnętrznego życia towarzystw. Z początku odbywały się zjazdy okręgowe, następnie prowincyonalne, nareszcie postanowiono urządzać zebrania członków Towarzystw z całych Czech, Moraw i Szląska. Na ostatniem z takich zgromadzeń postanowiono utworzyć ogólny fundusz agitacyjny i centralny komitet kierowniczy. W ten sposób powstała organizacya, którą można uważać za partyę polityczną. Wysyła ona swych delegatów na zjazdy katolickie innych krajów austryackich i w ten sposób wyrabia się program ogólny stronnictwa katolickiego w całem państwie.

Ponieważ członkami „Vlasti“ mogą być nietylko osoby, ale i instytucye, przeto jej kierownicy usiłują skupić pod swym sztandarem wszystkie związki chrześciańsko-socyalne, co się im też udaje. W ten sposób stowarzyszenie, „usuwające się od polityki,“ jest w rzeczywistości kierownikiem czysto politycznego ruchu.

(D. n.)

Leon Wasilewski.

Tydzień polityczny. Blokadę Krety rozciągnięto o godzinie 8 zrana d. 21 b. m. na wybrzeża i terytoryum morskie przybrzeżne, oznaczone dokładnie stopniami szerokości i długości geograficznej. Dzienniki urzędowe trzech państw: Rosyi, Anglii i Niemiec fakt ten najpierwsze zapisały. Tylko okręty z państw blokujących mogą zwijać do portów z ładunkiem nie dla powstańców i nie dla wnętrza wyspy, ale i one muszą się poddawać przetrząsaniu; z innych państw tylko za pozwoleniem admirałów, kierujących blokadą. Pod osłoną tej blokady okręt turecki strzelał już do powstańców. Sułtan zamieścić kazał w swoim dzienniku urzędowym zawiadomienie o blokadzie, wyrażające wdzięczność dla mo-

carstw. Od niedzieli Vassos jest w oblężeniu: wezwano go do ustąpienia w ciągu 48 godzin, które już upłynęły. Przewidując schronienie się do obwarowanej przez samą naturę Sfakii — krainy górzystej w południowo-zachodnim rogu wyspy—admirałowie ubiegli Vassosa, wielką tem wyrządzając mu krzywdę. Dotychczas nie przyszło jeszcze do działań bojowych. Mocarstwa uzupełniają swe siły, każde dodaje do dawniejszych po 600 pieszych. Główne punkta północno-wschodniego pomorza rozebrano między siebie, ale dotychczas zajęcie nie jest jeszcze usystematyzowanem. Flota grecka odpłynęła już na własne swe, politycznie greckie, wody, nie czekając wezwania. Ateny same wydały rozkaz z obawy zniszczenia.

Zdawało się na pozór, że Grecy będą chcieli wziąć Europę w samotrzask, robiąc wojnę na północy w Tessalii, gdy im nie pozwolono jej robić na Krecie. Ale słabość sił nie pozwala na odegranie roli: Turcy, choćby nie mieli tych 112 batalionów na pograniczu, któremi się przechwalają, w każdym razie są w dwójnasób przeszło silniejsi, i tylko konie mają nieosobliwe i w niedostatecznej ilości. Jeżeli Greków jest 25 tysięcy, jak prawdopodobnie mniemać można, to Turków, przy największem nawet zaniedbaniu, musi być ze 60.000. Wódz naczelny, Edhem, podał się do dymisyi; znajdzie się bez trudu następca. Grekom odejmować mogą odwagę i niepewne stosunki z Serbią i Bulgaryą. Prześwituje jakoś niedowierzanie; widocznie, albo nie umiano, albo nie chciano, albo też nie zdołano zawczasu się z niemi porozumieć. W każdym razie animusz wojenny, podsycany napływem ochotników z Włoch, Francyi, Szwajcaryi — trzyma się jeszcze dobrze, ale postanowienie czynu w Atenach osłabło. Wolno nawet domyślać się, że starania o pas neutralny na pograniczu tessalskiem Anglia podjęła na prośbę Grecyi. Neutralizacya taka leży i w interesie Europy, ale nie widać, aby Europa bardzo była do niej pochopną. Anglia grozić musi, że wtedy dopiero na blokowanie wschodniej zatoki tessalskiej Volo przystanie, gdy mocarstwa ów pas wyciągną.

W Niemczech d. 20 b. m. sejm odrzucił propozycye Hollmanna, poszedł we wszystkiem za swoją komisyą, i uchwalił tyle jedynie, ile mu ona dać zaleciła. Jest to kropla w morzu: cały plan na przyszłość poszedł w wodę, zostały tylko potrzeby bieżące. Dzienniki rządowe radzą cesarzowi Wilhelmowi, aby wydał orędzie — któreby zelektryzowało naród przeciwko sejmowi. W setną rocznicę urodzin Wilhelma I d. 22 b. m. wnuk jego zelektryzował Niemcy pomnikiem i mową w samym Berlinie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POTRZEBY OŚWIATY POCZĄTKOWEJ.

Ile pamiętamy, nigdy jeszcze tak natarczywie i bezustannie nie dopominano się ze wszech stron o oświatę. Woła o nią prasa rosyjska, wołają różne instytucye, wreszcie, co najważniejsza, na baczną uwagę zasługuje szczegół, podany przez *St. Peterb. Wied.*, że poznanie potrzeby oświaty tak dalece przedostało się do mas ludowych, iż one same upominają się o nią. Fakt to znamienny, chociaż ostrożność nam nakazuje nie uogólniać go. Lud do tej świadomości przychodzi bardzo powoli i zapewne w nielicznych miejscowościach, tam gdzie oświata racyonalniej, a więc i pomyślniej się rozwija. Lud miejski, stykający się z techniką życia, z wirem kultury i cywilizacyi, widzi coraz jaśniej w nauce środek wzmocnienia swej produkcyjności i naprawy warunków bytu. Lud wiejski przeważnie stanowi jeszcze niemal bezwładną masę umysłową, oświatę narzucaną w większości uważa za złe konieczne, patrzy z niechęcią na dzieci idące do szkoły i liczy, ile przez to ucierpi w domu robota drobna, poruczana dziatwie; wzdycha, gdy pociągają go do obowiązków materyalnych względem nauczyciela i szkoły. Dlaczego tak jest? — Bo z nauki szkolnej nie widzi tych rezultatów, o jakich mu prawią; bo natomiast widzi dziatwę apatyczną, niemrawą, wracającą z uczelni; domyśla się, że nauka ta idzie bardzo powoli. Dziatwa przez całą zimę uczy się czytać i pisać; przez wiosnę i lato zapomina wszystkiego; w roku następnym zaczyna na nowo. Tym sposobem nauka czytania trwa nieraz lat kilka i młodzież włościańska wychodzi ze słabą umiejętnością czytania i pisania.

Wobec tego żądanie oświaty, idące z dołu — od ludu w niektórych miejscowościach jest objawem wielce pocieszającym. Zapewne pochodzi on z takich wsi i gmin, gdzie nauka szkolna lepiej jest traktowana, gdzie zdołano przekonać włościan o jej doniosłości. Przekonać zaś można nie sposobem kazaniowym, lecz widocznymi przykładami z życia. Ażeby to przykłady były jaknajliczniejsze, należy zreformować system pedagogiczny i wykładowy w szkołach ludowych, ale nie na mocy wniosków kancelaryjnych, lecz istotnych potrzeb życiowych.

Do tego dojść można przy udziale proponowanej przez *Peterb. Wied.* „Rady do spraw oświaty publicznej.“ Do składu jej obok urzędników, powołanoby współpracowników ziemstw, kuratorów i inspektorów szkół ludowych, tudzież ludzi fachowych i wogóle tych wszystkich, którzy dotykają się z blizka i znają dokładnie potrzeby oświaty ludowej. Komisya tego rodzaju, utrzymywana w charakterze organu doradczego ministeryum oświaty, mogłaby być zwoływaną raz lub dwa razy do roku, w celu narad nad sprawami oświaty ludowej, tudzież do opracowywania wniosków i referatów. Taki organ, pochodzący wprost z życia, oddałby istotnie nieocenione usługi siermiężnym masom społeczeństwa; wykazywałby te braki i ujawniał potrzeby, jakich dotąd nie zdołano dojrzeć, lub lekceważono je, nie mając odpowiedniego oświetlenia i dowodów pewnych.

Jak są olbrzymie to potrzeby i jak dużo jeszcze pozostaje do zrobienia, niech powiedzą fakty ogólne, postawione obok danych z Zachodu. W Rosyi europejskiej nauka elementarna jest przystępna zalodwie dla 3% ogółu ludności. Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że dzieci w wieku szkolnym, tj. od 7 do 11-go roku życia, stanowią 11% ogólnej liczby mieszkańców, otrzymamy 8% ludności, tj. prawie *dziewięć i pół* miliona dzieci w wieku szkolnym, pozostawionych bez szkoły. Rosya tedy pod tym względem stoi na niższym szczeblu, niż Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (22,35%), Szwajcarya, Niemcy, Anglia, Francya, Szwecya, Norwegia, Austrya, Finlandya, Hiszpania, Włochy, Bulgarya i Japonia (5,45%). Z krajów europejskich pod względem oświaty najbardziej jest zbliżona do Rosyi Portugalia, ale i tam procent piśmienności jest wyższy: 3,27%.

Jeżeli teraz weźmiemy budżet, przekonamy się, że skromne sumy idą w parze z procentowością dziatwy, otrzymującej ukształcenie początkowe. Według *Rusk. Wiedomosti*, z olbrzymiego ogólnego budżetu 1,300 mil. rs., na rzecz oświaty ludowej nie idzie nawet 2%. Ogólna suma przeznaczona w Rosyi na oświatę, 25 milionów rubli, jest bardzo mała w stosunku do sum, używanych w państwach znacznie mniejszych. Tak np. Prusy na samą tylko oświatę elementarną wydają rocznie około 60 milionów marek, czyli 29 milionów rubli.

Prasa rosyjska kładzie silny nacisk na to znamienne zjawisko, że oświata rozporządza tak małymi środkami, pomimo, że w ostatnich latach finanse państwa są w stanie bardzo pomyślnym. Sprawozdanie kontroli skarbowej wykazuje, że wciągu dziesięciolecia 1886—1895 dochody państwa (z wykreśleniem obrotów kolejowych) dały nadmiar środków w sumie kolosalnej: 571,3 mil. rs. Z dołączeniem obrotów kolejowych nadmiar ten zmiejsza się wprawdzie do połowy, tj. do 233,1 milionów rubli, ale stanowi pomimo to sumę olbrzymią. Włączono ją do kategoryi środków na potrzeby nadzwyczajne; ale i po ich zaspokojeniu pozostawała czysta pokaźna reszta: 180 milionów rubli. Suma ta oczywiście nie będzie bezczynna wobec wielkich i różnorodnych potrzeb państwa; ale w tych potrzebach pożądane jest postawienie oświaty ludowej na pierwszym planie.

Dopiero gdy będą udzielone środki dostateczne na rozwój szkolnictwa, na stworzenie wielu nowych uczelni i odpowiednie uposażenie prawdziwie zdolnych i sumiennych nauczycieli, proponowana Rada do spraw oświaty publicznej może rozwinąć swoją działalność za pomocą ludzi światłych, świadomych rzeczy, wskazywać istotne potrzeby, które miałyby na celu rozszerzanie programów teoretyczno-praktycznych i doskonalenie systemów pedagogiki w ten sposób, ażeby dziatwa ludu garnęła się z zamiłowaniem do szkoły i wynosiła z niej prawdziwy pożytek. Dziś dużo się mówi o obowiązkowej nauce elementarnej; ale i ta obowiązkowość bez zadośćuczynienia powyższym warunkom nie doprowadzi do celu pożądanego.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 22 marca.

Przegląd działalności społecznej i ekonomicznej. — Centralne Towarzystwo gospodarcze. — Sejm prowincyonalny. — Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt polskich. — Prelegent bez słuchaczów. — Nowe ataki hakatystów. — Do chłopów polskich wolno przemawiać... po francusku!

Post obecny poświęcono sprawom poważnym, tj. ogólnemu przeglądowi działalności społecznej i ekonomicznej. Między innemi centralne Towarzystwo gospodarcze na walnem zebraniu zrobiło szczegółowy rachunek swej pracy. Instytucya ta rozpostarła skrzydła opiekuńcze nad 11-tu filiami, tudzież osobnym wydziałem gorzelniczym. Niektóre z tych Towarzystw filialnych są bardzo ożywione i posiadają stosunkowo dość znaczną liczbę członków, jak np. kępińsko-ostrzeszowskie 119. W r. z. Towarzystwo centralne zorganizowało kilkodniowe kursy teoretyczne dla urzędników go-

spodarczych, na wzór urządzanych corocznie przez Towarzystwo niemieckie w Berlinie. Wykłady w Poznaniu, prowadzone i zimą, zyskały wielkie uznanie interesowanych słuchaczów i ściągnęły ich około setki. Zima jest bardzo dogodną porą dla tej kategoryi pracowników, a więc pożądanem byłoby rozszerzenie wykładów, gdyż trzy dni, to zbyt mało wobec ogromu materyału teoretycznego, nagromadzonego przez naukę, doświadczenie i życie, z którym należałoby bliżej zaznajomić „urzędników gospodarczych.“

Na posiedzeniu Towarzystwa w osobnych referatach poruszono trzy bardzo ważne sprawy: Teodor Kalkstein, dyrektor Banku ziemskiego, gruntownie obeznany z parcelacyą i kolonizacyą, zabrał głos w tej materyi i zachęcał do działkowania ziemi, szczególnie w razie, gdy właściciel przy większym majątku utrzymać się nie może. Tym sposobem i szlachta zdobędzie sobie pewniejszy grunt pod nogami, gdy go obciąwszy dokoła zostawi środek czysty, i lud polski, osadzony na działkach, wytworzy masę odporną przeciwko fali germanizacyjnej. Filar hakatystów, Tiedemann, na zebraniu w Berlinie oznajmił, że opór szlachty polskiej jest bagatelą; rujnuje się ona bowiem i wyprzedaje szybko, gdy natomiast lud jest mniej podatnym materyałem do wynaradawiania i wydziedziczania.

Oprócz powyższego odczytu, dr. Witold Skarzyński mówił o dochodach i gospodarstwie, a ks. prałat Goebl z Kruszwicy—o robotniku wiejskim, stałym i niestałym.

W pierwszych dniach marca sejm prowincyonalny W. Ks. Poznańskiego zakończył obrady i uchwalił budżet krajowy w wysokości 3,836,300 m. na r. 1897/8 i następny. W gorącą opiekę wzięto rolnictwo, tudzież wszelkie pokrewne dziedziny produkcyi. Jednym zaś z jawnych dowodów opieki było uchwalenie zapomogi dla zimowych szkół rolniczych we Wschowie i Inowrocławiu, dla prowincyonalnej szkoły ogrodniczej w Koźminie i szkoły uprawy łąk w Bydgoszczy. Do programu ogrodniczej, oprócz zwykłych przedmiotów, wchodzi kurs dla nauczycieli szkół wiejskich i dozorców dróg szosowych.

Melioracye krajowe r. 1894/5 pochłonęły 61,640 m., r. 1895/6—75,871 m. Zapomogę rządową na poparcie rolnictwa w W. Ks. Poznańskiem zwiększono o 10,000 m. Dochody z przymusowego ubezpieczenia koni i bydła od chorób zaraźliwych w W. Ks. Poznańskiem wynosiły: r. 1894/5—64,348 m., r. 1895/6—65,134 m., wydatki 26,249 m. W prowincyonalnem Towarzystwie ubezpieczeń od ognia było r. 1896 ogółem 428,907 budynków na ogólną sumę 901,245,700 m., na którą wypłacono składek 2,281,187 m. R. 1894/5 było pożarów 1,044. r. 1895/6—1,199, w tej liczbie 382 skutkiem podpalenia rozmyślnego. Wypłata wynagrodzenia w okresie dwuletnim wyniosła 4,202,089 m.

Ażeby uzupełnić pobieżną charakterystykę działalności w tej mierze, dodajmy, że r. 1894 otwarto muzeum prowincyonalne i bibliotekę krajową (pod zarządem sejmu prowincyonalnego). Księgozbiór ten liczy około 32,000 tomów. Zaznaczyć musimy jeszcze i to, iż uchwalono nowy zakład prowincyonalny w celu kształcenia akuszerek, plan urządzenia zakładu dla młodocianych idyotów i epileptyków, zdolnych do pracy i względnie — kształcenia się. W końcu zapadła uchwała znacznej zapomogi dla budowy w W. Ks. Poznańskiem kolei trzeciorzędnych, które dla przemysłu rolnego mogą mieć doniosłe znaczenie.

Dn. 5 marca zwołano walne zebranie Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt polskich w Poznaniu. Instytucya ta powstała przed dwudziestu kilku laty pod naciskiem potrzeby zarobkowania. Zrazu istniało tylko jedno Towarzystwo pomocy dla dziewcząt z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich. Wkrótce jednak niezależnie od toruńskiego założono osobne w Poznaniu, które bardzo prędko zdołało prześcignąć pierwowzór. Obecne sprawozdanie, oprócz remanentu 7,107 m., wykazuje 10,016 m. dochodu rocznego. W ciągu roku sprawozdawczego kosztem tej instytucyi kształciło się 106 dziewcząt, z tych 20 uczęszczało do wyższych zakładów naukowych, w celu kształcenia się na nauczycielki, 19 obrało krawieczyznę, 12 zawód froblowski, 10 muzykę, 10 buchhalteryę, 8 pranie i prasowanie, 7 modniarstwo, 6 kucharstwo, 4 gospodarstwo wiejskie, 3 szycie bielizny, 3 fotografię itd. Obecnie Towarzystwo posiada funduszu żelaznego z zapisów 49,709 marek. Instytucya ta, wielce pożyteczna, jest wyrazem ogólnie rozpowszechnionej w Niemczech dążności praktycznej w życiu społecznem kobiet. Cieszy się ona powszechnem uznaniem i poparciem.

Życie społeczne, ekonomiczne i umysłowe w W. Ks. Poznańskiem pomimo ciężkich warunków, ucisku nawały germańskiej, paraliżującej wszelki rozwój, ma wiele stron dodatnich, ujawniających żywotność społeczeństwa. Trzeba bliżej się przyjrzeć warstwom oświeconym i dążącym do oświaty, ażeby przyjść do przekonania, że ludność polska w W. Ks. Poznańskiem zajmuje nie ostatni szczebel cywilizacyjny. Tem dziwniejszą wydaje się jakaś szczególna bezwładność, senność umysłowa ukształconych mieszkańców Poznania, wprost nawet przerażająca, którą ujawniły odczyty d-ra Witolda Skarzyńskiego. Miał on mówić „o naszej sprawie,“ tj. najżywotniejszej, bo dotyczącej losu narodu pod berłem niemieckiem w chwili obecnej. Prelegent pozyskał opinię człowieka bardzo światłego, sławę powagi na polu ekonomii politycznej. To też zdawało się, że gdy wystąpi na mównicy publicznej, zabraknie miejsc w sali. Tymczasem, o dziwo! musiał poprzestać na pierwszym odczycie i ogłosić w pismach, że wobec braku słuchaczów przerywa swoje prelekcye. Fakt to bolesny, niebywały zdaje się dotychczas w naszem społeczeństwie. Jakże o nim sądzić mamy, jeżeli zestawimy następujące okoliczności: Dr. Skarzyński jest zażartym wrogiem obozu ugodowego, czyli dworskiego i ku niemu w swoich odczytach miał właśnie wymierzyć pociski. Obóz ten nic dobrego nie przyniósł, przeciwnie — zamiast jakichś ulg dla ludności polskiej, ujrzeliśmy szatańską organizacyę i działalność hakatystów. Przychodzi ktoś, szczerze miłujący swój naród, chce pomówić poważnie o jego losach, a on odwraca się od mówcy i zasypia snem chorobliwym, niebezpiecznym. Czyżby hakatyści znaleźli już na społeczeństwo polskie oświecone środek narkotyczny, jakiego używają opryszki w wagonach, gdy usiłują zrabować podróżnych?

Związek szerzenia niemczyzny nie ustaje w swej działalności i coraz nowe obmyśla środki gnębienia żywiołu polskiego. Niedawno w organie swoim (*Ostmark*) ogłosił 14 punktów wzmocnionej walki. Zalecają one między innemi wstrzymywanie Niemców od jakichkolwiek ustępstw na rzecz Polaków, nadto — baczenie na niebezpieczeństwo ze strony urzędników Polaków, dalej kontrolę nad prasą polską i działalnością stowarzyszeń polskich. Owi urzędnicy „niebezpieczni,“ zajmujący wybitne stanowiska na kresach wschodnich — to zaledwie kilku ludzi prawie bez żadnego znaczenia i wpływu. Dość zaznaczyć, że W. Ks. Poznańskie, w którem dwie trzecie ludności stanowią Polacy, nie posiada nawet jednego landrata Polaka. Płatne urzędy w wydziale krajowym zajmują również tylko Niemcy. To samo we wszystkich urzędach państwowych, sądownictwie, instytucyach szkolnych. Wszystkie wyższe stanowiska zajmują tam wyłącznie Niemcy. Gdzież więc ta armia „niebezpiecznych,“ z którymi hakatyści zamierzają walczyć? Chyba są nimi rzesze robotnicze i wogóle najemnicy wszelkiego rodzaju. Przypuszczenie to nabiera pewności, jeżeli weźmiemy pod uwagę rozporządzenie wrocławskiej i bydgoskiej dyrekcyi kolejowej, wymierzone przeciwko robotnikom Polakom.

Najpłodniejszą w skutkach jest agitacya hakatystów, mająca na celu zgnębienie stowarzyszeń polskich. Okólnik ministra spraw wewnętrznych, pomimo zapewnionej swobody przez konstytucyę stowarzyszeniom polskim, zaleca prześladowanie nawet takich, jak gimnastyczne.

Na zakończenie tego obrazu stosunków podaję znamienny fakcik. W walce, wypowiedzianej zebraniom polskim prześladowcy zaczynają się posuwać do komizmu. W Lipienkach, pow. Świecimskim, rozwiązano zgromadzenie przedwyborcze za to, że p. Parczewski przemawiał po polsku. Stróż „porządku i bezpieczeństwa państwowego,“ wójt Brembach, zażądał od mówcy, ażeby się posługiwał językiem niemieckim lub... francuskim! Tak więc chłopi polscy mogą słuchać mów francuskich, bo nawet język znienawidzonego przez Niemców narodu mniej jest dla nich wstrętnym, niż polski. Jest to ciekawy rys zbiorowego obłędu, jako wyższego stadyum nienawiści rasowych. Ta nienawiść jest tem silniejsza i groźniejsza, że coraz wyraźniej i gwałtowniej uderza we wszystkie narody słowiańskie.

et.

Z NIZIN SPOŁECZNYCH FRANCYI

IV.

Dalsze rozprawy traktują o pracy kobiet w Anglii i Ameryce i o socyalizmie państwowym i chrześciańskim. W obie wplecione są miejscami wiadomości o Francyi. I tak dowiadujemy się, że w Paryżu najżywiej zajęły się robotnicami kongregacye religijne. Stworzyły one pewną ilość eksternatów, gdzie dziewczęta pracujące znajdują nocleg, śniadanie, wieczerzę i możność spędzenia przyzwoicie niedzieli. Schludną a tanią restauracyę z dołączoną do niej na wzór amerykański biblioteczką założył jezuita. Z tychże sfer wyszło urządzenie dwóch domów: dla robotnic sierot—w stolicy, i dla robotnic na wyzdrowieniu — pod Paryżem.

Na kilku stronach drugiej rozprawy są zestawione trudności, jakie czyni prawodawstwo francuskie towarzystwom dobroczynnym. Ilość członków nie może przekraczać 20 (!); jeśli towarzystwo chce nabywać własność, musi być ona zapisana na czyjeś imię. Obciąża się je najdolegliwszymi podatkami, wreszcie w każdej chwili mogą być przez państwo rozwiązane i mienie skonfiskowane. O ileż większą protekcyą cieszyła się Panama!

Chociaż Hanssonville bardzo szeroko pojmuje inicyatywę państwa, chcąc widzieć w niem przedewszystkiem dobrego ojca, jednakże uznaje i znaczenie dobroczynności. Roztrząsa je w ostatniej rozprawie: „Dobroczynność i pomoc przez pracę.“ Czy należy pełnić dobroczynność? „Należy — brzmi odpowiedź, uzasadniona dyalektycznem odparciem przeciwnych wywodów. — Bo gdyby w naszych złożonych społeczeństwach czynność jej została zawieszoną na jeden dzień, nastąpiłby tak straszny wybuch cierpień, wzbiłby się ku niebu taki okrzyk nędzy, że nawet ci, co są za jej usunięciem, cofnęliby się przed swem dziełem.“

Ale jak ją pełnić? Grosz, wetknięty w rękę proszącemu, pospolita jałmużna nie zawsze są najlepszą pomocą. Nie trzeba także zapominać, że wszelka pomoc winna zmierzać nietylko do ulgi materyalnej, ale i do moralnej. Tymczasem pierwsza i druga nie zawsze idą w parze. Jak je skojarzyć?

Aby to było możliwem, musi dobroczynność być zorganizowaną. W Londynie od 25 lat istnieje towarzystwo „Charity organization Society," mające na celu z jednej strony szerzenie jasnych pojęć o dobroczynności, tworzenie, popieranie i łączenie instytucyj dobroczynnych, z drugiej zbieranie wiadomości o osobach, zwracających się o pomoc i, jeśli zasługują, polecanie ich. Składa się ono z 40 oddziałów w różnych częściach Londynu i utrzymuje związek z 93 w Anglii. Tak samo jest w New-Yorku i w Filadelfii.

W Paryżu założył przed trzema laty podobną instytucyę Lefebure. W małem biurze pod nr. 135 bulwaru St. Germain zdołano załatwić 18,735 spraw, udzielono pomocy 13,463 osobom, dostarczono pracy 3,342, umieszczono 1,304 starców i sierot, zebrano dane o więcej niż trzech tysiącach towarzystw dobroczynnych Francyi i zagranicy. Bordeaux i Marsylia poszły za przykładem paryskim.

Inny zakład istnieje przy ul. Faubourg St. Honoré, 170. Od lat dwudziestu zbiera się tam dane o żebrakach Paryża. Za małem wynagrodzeniem — ostatecznie towarzystwo musi istnieć — można korzystać z nagromadzonych wiadomości, dotyczących dziś już 113,000 osób.

Niewątpliwie najbardziej umoralniającą jest pomoc przez pracę. Zapoczątkował ją Wincenty à Paulo. Opowiadają o nim, że pewien dworzanin darował mu moczar w okolicach Paryża. Wincenty posłał tam żebraków, którzy zwrócili się do niego i kazał im kopać głęboki rów. Za dzień pracy otrzymywali 15 soldów. Po jakimś czasie rowy były gotowe. Co teraz robić?— pytali. On zastanowił się i rzekł:

— Zasypcie pierwszy rów, a obok kopcie drugi!

Szczegóły tego wypadku mogą ulegać krytyce, zasada — nie.

Przejęli się nią niektórzy. Pierwszym z tych: Wiktor Mamoz. Robotnik przez siedemnaście lat, potem majster przekonał się w ciągu swego burzliwego żywota o ile sympatyczniejszą jest nędza, żądająca pracy, od proszącej jedynie o wsparcie. Gdy znalazł możność, urządził w r. 1894 przy ul. du Colisée zakład, który odtąd dostarcza rocznie 300 robotnicom zajęcia. Polega on właściwie na wyodrębnieniu: klientelę składają wyłącznie osoby dobroczynne, zamawiające tanie ubrania, aby je rozdać potem między biednych. Odmienną instytucyę założył przy ulicy Fessart pastor Robin. Wstęp do niej otwierają tak zwane bony pracy. Żebrak prosi o wsparcie; daje mu się znaczek kosztujący półtora franka, ten uprawnia go do dwutygodniowego pobytu w zakładzie z warunkiem, że będzie pracował. Ma zrobić dziennie 50 wiązek drzewek do podpalania, za każdą dodatkową otrzymuje 3 centimy. W ten sposób może wynieść po czternastu dniach jeszcze kilka franków. Drzewka owe sprzedają się; w 1894 r. 1,162 osób przygotowały 119,185 wiązek, ich sprzedaż przyniosła 10,988 fr., wydatki zaś domu były 21,498 fr.

W dzielnicy batiniolskiej „Towarzystwo pomocy" dostarcza pracy w podobny sposób. Mężczyźni robią drzewka, kobiety kleją worki z papieru lub niekiedy szyją. Sprzedaż wyrobów dała w r. 1895 13,000 fr.; wydatki na utrzymanie pracujących — 41,000 fr.

Z każdym dniem ów sposób udzielania pomocy zyskuje zwolenników. W dzielnicy szesnastej (Passy) istnieje towarzystwo, rozdzielające znaczki pracy, pod nr. 52 avenue de Versailles dobroczynność urządziła pralnię, gdzie pracuje więcej, niż 3,000 kobiet rocznie. Początkowo położenie jej było niepewne, teraz wzmocniły je donacye. Jedna z najsympatyczniejszych postaci świata filantropijnego, zakonnica Saint-Antoine, założyła kamień węgielny pod fundacyę, przezwaną później Laubespinowską. Człowiek bez pracy, nieznający rzemiosła, zyskuje tu wstęp z łatwością, uczą go przez kilka dni najprostszych robót stolarskich i za każdy dzień płacą 2 fr. Najdłuższy pobyt jest 20 dni. Zakład ma kuchnię, za całodzienne życie pracownik płaci 90 cent., za nocleg 35. Zostaje mu przeto co wieczór 75 cent. Po trzech tygodniach wynosi z sobą 12—13 fr.; ta kwota pieniężna, dobre obejście i trzy tygodnie bez troski, wreszcie rzemiosło, które posiadł, zbawiennie oddziaływają na jego nastrój.

Jest to więc pewnego rodzaju uzdrowisko moralne. Nadto zakład umieszcza swoich ludzi. Na stu, którzy w nim przebywają, 40 znajduje miejsce, 34 wraca peryodycznie, 26 nie zjawia się więcej. Czyli w życiu 66 pobyt zostawia ślady niezatarte.

Siostra Saint-Antoine otworzyła niedawno przy ul. Saint-Pères nr. 53 podobny zakład dla kobiet. I ten zapewne ostoi się. Bo na szczęście Francya obok panamistów wydaje jeszcze ludzi serca, oby tylko pilnili się jak najbogaciej!

W. Bugiel.

GMINNA SŁUŻBA ZDROWIA.

Sprawę organizacyi pomocy lekarskiej na wsi poruszaliśmy już nieraz. Jest ona niezmiernie ważna, bo związana z losem i bytem milionów ludności, zawsze żywotna i na czasie, bo dla dobra ogółu wymaga reformy gruntownej. Ponieważ wierzymy, że siła potrzeby społecznej musi pierwej czy później wywołać tą reformę, więc będziemy o nią zawsze kołatali, ilekroć zdarzy się sposobność. Obecnie mamy właśnie taką sposobność dzięki temu, że dwu lekarzy, znających wybornie stosunki wiejskie, J. Tchórznicki i G. Doliński, ujawnili wiele nieznanych lub mało znanych stron hygieny wiejskiej i warunków pomocy lekarskiej; że nadto zbliżające się widmo dżumy zaczyna niepokoić umysły i rodzić w społeczeństwie krytycyzm względem urządzeń zdrowotnych.

Przed kilku tygodniami, pisząc o lekarzach bez praktyki i ludności bez pomocy lekarskiej, położyliśmy nacisk na jeden zasadniczy warunek reform: potrzebę stworzenia ministeryum spraw zdrowia społecznego. *Warsz. Dziennik* zalicza myśl naszą do sfery „życzeń pobożnych" i twierdzi, że o takiej doskonałości *tylko marzyć* wolno, a nawet dążyć do niej, ale bądź co bądź jest to przyszłość bardzo odległa, więc należałoby stworzyć coś tymczasowego, co mogłoby przynieść istotną korzyść zdrowiu publicznemu. Istnieje wprawdzie departament medyczny i nawet niegdyś zwrócił uwagę powszechną bardzo niefortunnym wnioskiem przymusowej pomocy lekarskiej bez żadnego wynagrodzenia, tj. chciał lekarzy skazać na dolę białych murzynów władzy administracyjnej. Projekt ten doznał zasłużonej odprawy ze strony towarzystw lekarskich w Cesarstwie i Królestwie Polskiem. Był on „objawem samowoli ludzi niepojmujących znaczenia praw jednostki i jej stosunku do ogółu państwa."

Przyjrzyjmy się w ogólnych zarysach obecnym warunkom i położeniu służby zdrowia na prowincyi. Dzisiejsze władze lekarskie w Królestwie Polskiem składają się: z inspektorów gubernialnych, lekarzy miejskich — na prowincyi, miejskich i cyrkułowych — w Warszawie, lekarzy naczelnych, wreszcie ordynatorów szpitalnych. Płaca ich jest bardzo licha. Inspektor np. pobiera 600 rs. rocznie; lekarz szpitalny z etatem na 120 lub więcej łóżek — 450 rs. rocznie. Lekarze oddziałowi pracują po lat kilkanaście zupełnie darmo, pomimo że szpitale posiadają dość znaczne fundusze.

Jak zaradzić złemu, w jaki sposób zabezpieczyć byt lekarzy na prowincyi i zarazem stworzyć prawidłową, skuteczną pomoc dla ogółu mieszkańców— rozprawiano o tem dość szeroko... przed dwudziestu kilku laty. Doktorowie Doliński i Kwaśniewski opracowali bardzo dobre projekty, o których zupełnie zapomniano, jak się zapomina wogóle o wielu wnioskach pożytecznych i nie uznaje się ich wcale. Natomiast idąc drogą utartą jałowych, bezmyślnych zabiegów, opiekunowie dobra społecznego przynoszą niepowetowaną szkodę i krzywdę społeczeństwu, które najjaskrawiej wystąpiły podczas walki z epidemią cholery. Oto jak kreśli ten znamienny obrazek dr. G. D. w *Słowie*: „Palono ognie, zapowietrzono całe miasta środkami dezinfekcyjnymi. Co znaczy smarowanie kamieni, gdy ziemia pod brukiem nasiąka wszelką nieczystością? Blaga, nic więcej! Żadna słuszna uwaga, żadna hygiena i mająca prawdziwą wartość rada lekarska, zbiorowa lub pojedyncza, nie była uwzględniona w praktyce. Robiono według swego widzimi się. Palono stosy bielizny, wyrzucano z mieszkań na całych ulicach ludność żydowską, rujnowano ludzi ubogich, niszczono sprzęty, garderobę, bieliznę. Na prowincyi porobiono rogatki, gdzie chłopi wartujący smarowali przejezdnych mieszaniną wody z karbolem i smołą lub kropili roztworem chlorku wapna. Nawet jeden z policmajstrów posunął gorliwość swoją do tego stopnia, że zaczął rąbać balkony i ganki w domach żydowskich, utrzymując, że poręcze drewniane służą do szerzenia zarazy. Wprawdzie za to przeszedł zasłużenie w stan spoczynku, ale fakt faktem pozostaje. Każda epidemia jest żniwem bogatem dla ludzi złej woli; każde rozporządzenie, dotyczące spraw hygieny — nowem źródłem szykan dla ludności, a tem samem obfitą kopalnią zysków, bo każdy przed przykrością broni się jak może, a najskuteczniejszą obroną jest opłacić się napastnikom."

Chcąc zmienić, a przynajmniej złagodzić ten smutny stan rzeczy, trzeba przedewszystkiem, jak radzi dr. G. D., „służbę zdrowia zorganizować, dobrać do niej ludzi uczciwych i spełniających sumiennie swe obowiązki," słowem takich, którzy potrafiliby zdobyć bezwzględne zaufanie i szacunek wszystkich warstw ogółu. Na to potrzebne są fundusze, które można wydobyć ze społeczeństwa, ale w takim tylko razie, jeżeli ono będzie przekonane, że, jak mówi dr. D., po drodze fundusz dla chorych nie uwięźnie w kieszeniach ludzi zdrowych.

Projekt dr. Dolińskiego w głównych zarysach jest następujący: Stałą służbę gminną stanowić będą: lekarz, akuszerka i felczer. Pierwszy i trzeci powinni zastąpić aptekarza, praktyka bowiem wykazała, że taki sposób jest wyborny. Dzięki wielu udogodnieniom technicznym, które pozwalają mieć wszelkie lekarstwa w tynkturach, ekstraktach, proszkach itd., dziś przyrządza je coraz więcej lekarzy wiejskich. Tu i owdzie po dworach, gdzie powstały apteczki podręczne, kobiety oświecone doskonale umieją także przyrządzać lekarstwa proste. To samo czynią w szpitalach siostry miłosierdzia. Lekarz, jadąc do chorego, może w małej szkatułce zmieścić wszystkie najniezbędniejsze lekarstwa. Takie puzderko niepokaźne staje się siłą magiczną, zjedny-

wającą pacyentów i ich zaufanie. Lekarz na wsi, sam przyrządzający lekarstwa, jak zaświadcza doświadczony praktyk, dr. Doliński — może mieć dochodu około *trzech tysięcy* rubli. „Dwory są wielce zadowolone, bo pomoc dla służby kosztuje ich tanio, chłop kontent, bo na miejscu ma „wszystką medycynę.“ nie trzeba męczyć ani koni, ani ludzi osobną jazdą do apteki. Chłop lubi załatwić wszystko za jednym zamachem; dlatego przekłada radę Abramka lub Jojny, „bo mu Abram tnie bańki, przylepia plaster, daje w jednej flaszce smarówkę, w drugiej „lekarstwo do gęby,“ lekarz zaś przepisze karteczkę i co z nią robić, żeby rwij! Abramek weźmie dwa albo trzy ruble, to już swoja rzecz.“ Chłop drapie się w głowę, ale musi zapłacić.

Dochody lekarzy prowincyonalnych, jak wiadomo, są liche, względnie do wiedzy specyalnej, kosztownie zdobytej i — pracy bardzo ciężkiej. Zarobek, wynoszący rs. 1,500, nazywa się bardzo dobrym, 2,000 — świetnym. Ale ten dochód nie jest pewnym, gdy tymczasem pensya stała może być podstawą bytu. Jeżeli w Lublinie naczelny lekarz szpitala, posiadającego trzydzieści kilka tysięcy rubli dochodu rocznie, bierze pensyi rs. 500, kilku zaś ordynatorów służy darmo i poświęca codziennie pół dnia *dla idei*, to, zdaniem dr. Dolińskiego, płaca 1,000 rs. dla lekarza gminnego jest pensyą idealną, o jakiej marzyć może tylko inspektor służby zdrowia, czuwający nad milionami ludności.

Otóż gdyby istniała gminna służba zdrowia, inaczejby wyglądał ogólny stan sanitarny prowincyi i związany z nim byt ekonomiczny ludności. Nie rozumianoby wtedy zabiegów zdrowotnych jako smarowania smołą i wapnem, kropienia, mycia, palenia, wyrzucania rzeczy z kufrów i prześladowania ubogiej, ciemnej ludności na każdym kroku. Dziwimy się, że ta ludność jest wrogo usposobiona względem wszelkich zarządzeń, mających na celu niby zdrowie publiczne. Musi ona być wrogą, musi z nienawiścią witać wszelkich sanitaryuszów, bo w nich widzi tylko swoich wrogów, którzy czyhają na jej mienie, niszczą i palą rzeczy, ubranie, bieliznę i pościel, rąbią balkony itd. Nie mając żadnej pewności, że to mienie będzie ocalone, częstokroć musi się opłacać oszczędnością, zebraną w ubóstwie, kosztem zdrowia swej dziatwy głodnej i licho ubranej.

Wobec tego należy nietylko przyklasnąć projektowi dr. Dolińskiego: organizacyi gminnej służby zdrowia, lecz wszelkiemi siłami starać się o jej urzeczywistnienie. Potrzebne są na to przedewszystkiem fundusze, ale i te, według obliczeń projektodawcy, można zebrać w sposób nieuciążliwy dla ludności. Jeden lekarz da radę w t. zw. okręgu sądowym, mieszczącym dwie gminy. Tym sposobem lekarz, felczer i akuszerka obsługiwać będą około 8,000 ludności. W okręgach sądowych oprócz wsi są osady i miasteczka, więc jest ludność bezrolna, są mieszczanie i rzemieślnicy, handlarze (przeważnie Żydzi). Wobec tego składkę na rzecz zdrowia społecznego liczyć trzeba nie od morga, lecz głowy. Koszty w każdym okręgu wynosiłyby około 2,000 rs.: pensya lekarza 1,000 rs., felczera 400, akuszerki 300, wreszcie 300 rs. na środki opatrunkowe i apteczne. Wypadałoby tedy ściągnąć z każdego mieszkańca pół kopiejki tygodniowo, czyli *dwie kopiejki* miesięcznie. Taką służbę zdrowia stworzyć można bardzo łatwo wobec znacznej liczby lekarzy bez praktyki tudzież sporej rzeszy felczerów, zajętych przeważnie goleniem, strzyżeniem lub pokątną fuszerką leczniczą. Kłopot byłby tylko z akuszerkami, bo, jak pisze dr. Doliński w *Gazecie Polskiej*, „odkąd wykłady przy instytucie położniczym w Warszawie są w języku urzędowym, odkąd żądają, żeby akuszerką była kobieta zamężna i choć wyższe elementarne posiadająca wykształcenie — nowych akuszerek nie widzimy.“ Projektodawca radzi odpowiednią liczbę takich pracownic do praktyki przysposobić — przy szpitalach warszawskich i prowincyonalnych, gdzie są oddziały żeńskie, tudzież w przytułkach położniczych. My na kwestyę akuszerek inaczej się zapatrujemy, o czem wypowiedzieliśmy swoje zdanie w *Prawdzie* przed dwoma laty. Ale to jest tylko jeden szczegół sprawy stworzenia gminnej służby zdrowia. Jak widzieliśmy, skupi ona działalność lekarską, felczerską, akuszeryjną i apteczną, tj. cztery gałęzie pracy, które dziś są z sobą poniekąd w rozterce, szkodliwie oddziaływającej i na zdrowotność powszechną i byt lekarzy. Wprawdzie stracić mogą aptekarze w zapadłych kątach; ale taka strata małej garstki ludzi, która zresztą da się pokryć w inny sposób, jest niczem wobec dobra ludności wielotysięcznej. W organizacyi gminnej służby zdrowia, po za stroną formalną, współdziałać powinno całe społeczeństwo prowincyonalne, oświecone.

Zen. Piet.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Naczelnik warszawskiego kantoru pocztowego, wyjaśniając w *Warsz. Dzienniku* powód niewłaściwego doręczania listu, oznajmia, że „za prawidłowość przesyłki korespondencyi wewnętrznej z adresami nie w języku rosyjskim zarząd pocztowy nie odpowiada.“ Tymi kilkoma wyrazami unicestwione zostało zadanie poczty. Bo pamiętać należy, że ludność kraju naszego koresponduje po polsku, że do Warszawy od tutejszych mieszkańców przychodzą tysiące listów z adresami francuskimi, niemieckimi, angielskimi, a więc cały ten ogrom korespondencyi, na której opierają się interesy i stosunki społeczne, przemysłowe, handlowe. Naturalnie, że oświadczenie naczelnika poczty nie jest wyrazem niemożności, zdradzającej się w usunięciu wszystkich innych języków oprócz rosyjskiego tylko z korespondencyi wewnętrznej i znajdującej potwierdzenie w tym fakcie, że zarówno urzędnicy, jak listonosze z bardzo małymi wyjątkami znają język polski.

Stypendyum Kopernika.

W rzędzie przedmiotów sporu między prasą rosyjską a polską stanęło także stypendyum Kopernika. W warunkach, na których oddano fundusz do rozporządzenia uniwersytetowi warszawskiemu, nie ma wcale żadnych ograniczeń i zastrzeżeń względem kandydatów, lecz powiedziano ogólnie, że ze stypendyum korzystać mogą *wszyscy* studenci wydziału fizyko-matematycznego. Zwierzchność zatem uniwersytecka, oddając je wyłącznie Rosyanom, była *formalnie* w porządku. Druga niespodzianka dotyczyła samej rzeczy. Mianowicie jedna z gazet petersburskich oświadczyła, że przyznanie zapomóg tylko Rosyanom było i co do istoty swojej słusznem, gdyż kapitał powstał głównie ze składek rosyjskich. Nie licząc się też wcale z tym wymysłem, *St. Pet. Wied.* z właściwą im pamięcią o honorze zaznaczyły, że samo poczucie godności i delikatności nakazywało nie wyzyskiwać przewagi formalnej i w rozdziale stypendyów uwzględniać tych, których rodacy je ze swych ofiar ufundowali. Ale w tej sprawie obrońcy sprawiedliwości przeoczyli punkt najważniejszy. Dziś Polacy wstępują na wydział fizyko-matematyczny bardzo nielicznie i w przyszłości zdarzyć się może nieraz, że ich tam wcale nie będzie.

Dwie rocznice.

Dwie rocznice dwu najznakomitszych pisarzów polskich — Kraszewskiego i Korzeniowskiego — uczczone zostały w Warszawie wspomnieniami i pamiątkami. W kościele św. Krzyża wmurowany został pomnik dla Kraszewskiego, który obok tytułów i dat narodzin i śmierci (1812—1887) zawiera napis: „Światło miłował, światło szerzył lat 58 bez odpoczynku, niechaj mu światłość wiekuista świeci i niech odpoczywa w pokoju wiecznym. Amen.“

Setną rocznicę urodzin Korzeniowskiego przypomniano przedstawieniem jego utworów w teatrze i artykułami w prasie. Przyznając autorowi *Karpackich górali* wielki talent i doniosłe dla piśmiennictwa polskiego zasługi, nie możemy go stawić na jednym poziomie z Kraszewskim. Korzeniowski był autorem szeregu cennych dzieł, Kraszewski twórcą całej biblioteki; tamten pracował w jednym kierunku, ten w najrozmaitszych; tamten był świetnym umysłem, ten nadto wielkim sercem. Jeśli w literaturze są olbrzymy, niewątpliwie ma do tego tytułu prawo Kraszewski. My za mało jeszcze oddaliliśmy się od niego, ażeby zmierzyć jego wielkość; dopiero przed oczyma późniejszych pokoleń wyrośnie ta olbrzymia postać do swej rzeczywistej miary.

Odczyty.

Nie ulega wątpliwości, że skala wykładów publicznych w Warszawie obniża się ciągle. Zamiast ciekawych i starannie opracowanych tematów, mamy pogadanki, będące albo popularyzacyą jakiegoś rozdziału z podręczników naukowych lub zwyczajnymi artykułami dziennikarskimi. Odczyty tegoroczne uwalniają nas od sprawozdań szczegółowych. Poprzestajemy więc tylko na ogólnej wzmiance. P. Bełza, nieobdarzony ani talentem, ani wiedzą, ani zmysłem spostrzegawczym i przywożący w darze dla literatury ze swych corocznych podróży obfity transport mdło-słodkiej i blado zabarwionej wody, wypowiedział szereg turystycznych ogólników z wycieczki na Wschód, między którymi najciekawsze były te, które znaleźć można w przewodniku Baedeckera. P. Gostomski spalił mnóstwo kadzideł na cześć Wagnera, mówiąc o jego *aliis rebus*, a nie dotykając jego muzyki. P. Sporzyński znowu wygłosił swoje wrażenia turystyczne z podróży po Skandynawii. Wszystkie te pogadanki, zawarte w formie bardzo zwyczajnej, a nawet nieudolnej, dały słuchaczom wiązankę nieznanych szczegółów, ale dla katedry publicznej, posiadającej tak ważne dla nas znaczenie i urok, żądalibyśmy czegoś lepszego. Na usprawiedliwienie wszakże prelegentów przytoczyć trzeba tę okoliczność, że i w publiczności obniżyła się skala wymagań. Tak np. po rzęsistych oklaskach dla p. Bełzy w sali, odezwały się wołania o *bis* po za nią i — odczyt ma być powtórzony. Takiego zaszczytu nie dostąpił żaden z dawnych prelegentów, chociaż między nimi byli — jak hr. Tarnowski — bardzo uwielbiani. Widocznie obecni lepiej dogadzają gustowi.

Smutna szkoła.

Pisma doniosły, iż wszyscy uczniowie szkoły ogrodniczej w Częstochowie rozjechali się do domów, a równocześnie jej koncesyonaryusz, p. Zawada, wystąpił z publicznem objaśnieniem tego faktu. Jeden z uczniów miał obrazić nauczyciela, następnie przyłączyło się do niego kilku innych, których wydalono; wtedy re-

szła opuściła szkołę. P. Z. wspomina przytem, że ona dotychczas pozostawała pod zarządem delegata ministeryum rolnictwa, że obecnie znowu przeszła pod jego kierownictwo, że z niego i z zakładu wychowańcy byli dotychczas bardzo zadowoleni itd. Niejasny, źle napisany list p. Z. nie pozwala nam wyrozumieć, co właściwie było powodem zajścia i gromadnej emigracyi uczniów. Ale jakakolwiek była przyczyna ostatnia, nie ulega wątpliwości, że od pierwszej chwili i ciągle tkwiły w samej instytucyi przyczyny niezadowolenia i skarg. Przedewszystkiem p. Zawada nie posiadał uzdolnionych nauczycieli, nie wytworzył odpowiedniego materyału do zajęć i studyów praktycznych, nie dawał pensyonarzom dostatecznej opieki i żywności. Jaka to była szkoła i jakie osiągała rezultaty, jeśli ktoś nie dowiedział się od uczniów, mógł ocenić na ostatniej wystawie ogrodniczej, gdzie p. Z. okazał swoje owoce, gorsze, niż najbiedniejsza przekupka miewa w koszyku. Ten widok maleńkich, zwiędłych lub kalekich jabłek i gruszek, bez nazw, był tak gorszącym i śmiesznym, że szybko zdjęto ze ściany kartę z objaśnieniem ich pochodzenia, a zwiedzający wystawę, zatrzymując się przed zagadkowym stołem, pytali zdumieni: co to i skąd to? Że p. Z. miał uczniów, zawdzięczał ich jedynie monopolowi swej szkoły, pozbawionej współzawodnictwa i jej przywilejowi pod względem ulg wojskowych. Ponieważ wkrótce ma być założona szkoła ogrodnicza w Warszawie przy ogrodzie Pomologicznym, p. Z. wkrótce się przekona, że nie będzie miał do swojej żadnych kandydatów, jeśli jej nie przekształci z gruntu i nie uczyni zakładem opartym na poważnych podstawach i zapewniającym istotne korzyści naukowe.

Żydzi na wsi.

Wyjaśnienie Senatu wprowadziło znaczną zmianę w prawach Żydów do przebywania we wsiach. Według dotychczasowego wykładu odnośnych przepisów nie wolno im było zamieszkiwać w domach na gruntach włościańskich: skutkiem tego albo musieli wysiedlać się ze wsi do miast, albo też korzystać wyłącznie z zabudowań dworskich, które wynajmowali bardzo drogo. Świeży wyrok senatu tłómaczy, że zakaz stosuje się tylko do nabywania gruntów i nieruchomości włościańskich, nie zaś do czasowego przemieszkiwania w nich. Pisma nasze, nawykło oceniać każdy fakt ze stanowiska interesów warszawskich, podnoszą głównie w tej zmianie przywrócone Żydom prawo do wynajmowania u chłopów mieszkań letnich. Niewątpliwie ma to swoje znaczenie, zwłaszcza dla niektórych osad — jak np. w Mrozy — ale głównie zyskają stałe czynniki życia wiejskiego — drobni handlarze i przekupnie, którzy dotąd z pewnych sioł byli zupełnie usunięci.

Przewodniki zarazy.

Lekarze-hygieniści i różne komisye sanitarne zwracają baczną uwagę na wszystko, co może wprowadzić bakterye chorobotwórcze do organizmu ludzkiego. Nie dostrzeżono wszakże dotychczas bardzo ważnego przewodnika chorób zaraźliwych: *apteki*. Jeżeli lekarstwo nie może być zrobione na poczekaniu, wydaje ona marki tekturowe z numerami. Lekarstwa, wymagające długiego przyrządzania, w znacznej liczbie wypadków przeznaczone są dla ludzi, którzy ulegli chorobie zaraźliwej. Znaczek z apteki dostaje się w ręce osoby, mającej do czynienia z chorym, następnie wraca do apteki i znowu krąży między klientelą tego zakładu. Marki owe są tak brudne, że się przylepiają do ręki. Gdyby je poddano badaniom drobnowidzowym, niewątpliwie znaleziono by tam mnóstwo bakteryj szkodliwych. Wyjaśniłaby się tą drogą jedna z przyczyn, dla czego ludzie, nie mający do czynienia ani z zarażonymi, ani z miejscem zarażonem, dostają chorób, udzielających się jedynie za pośrednictwem drobnoustrojów. Mówiono dużo o hygienie pracowników aptekarskich, a nie pomyślano o dezinfekcyi marek na odbiór lekarstwa. Przecież to rzecz tak łatwa: zniszczyć znaczki papierowe, a natomiast zrobić inne, z metalu, które po powrocie do apteki należałoby za każdym razem wymyć w płynie dezinfekcyjnym. Pożądaną byłaby taka sama reforma względem biletów, wydawanych w lecznicach dla chorych niezamożnych.

BADANIA NAUKOWE.

Fizyokraci w Polsce.*)

Ażeby ocenić wartość pracy p. J. Marchlewskiego o fizyokratach w Polsce, trzeba by znać dobrze epokę, której przedstawieniu poświęcił on swoją książkę, oraz pisarzy, których poddaje rozbiorowi. Nie rozporządzamy osobiście taką znajomością przedmiotu, musimy więc porzucić myśl o wydaniu własnego sądu. Natomiast winniśmy zaznaczyć wrażenie, jakie odnieśliśmy z przeczytania książki p. J. Marchlewskiego.

Jej cechą charakterystyczną jest trzeźwość: autor wie, że pierwszą zaletą wszelkiej pracy naukowej jest zrozumienie badanej epoki i ocena prądów ówczesnych ze stanowiska pierwiastków, które były jej właściwe, a zatem potęg materyalnych, tkwiących w ukształtowaniu stosunków wytwórczych, oraz świadomości warstw wtedy istniejących. Historyk, tak pojmujący rzecz swoją, nie będzie potępiał, ale analizował, tj. usiłował zrozumieć, dlaczego przyjęły się w narodzie pewne idee, jakiemu uległy przekształceniu, przybywając zzagranicy, wreszcie w czem spoczywa ich względna jałowość dziejowa lub doniosłość. Autor rozpatrywanej pracy uwzględnił te zasady badania przedmiotowego z całą świadomością. Książka jego o fizyokratyzmie w Polsce pozostawiła w moim umyśle wrażenia pracy sumiennej, tak iż gdyby mi osobiście trzeba było kiedykolwiek wypowiedzieć zdanie swoje o tym przedmiocie, to zamiast wertowania materyałów surowych, poprzestałbym na przytoczeniu sądów i wniosków J. Marchlewskiego.

Pozostaje mi tylko jedno: oddać główną treść wywodów autora.

Fizyokratów oceniono należycie dopiero w ostatnich czasach. Ongi odmawiano im nawet nazwy szkoły i uważano wprost za sektę ekonomiczną. Nowsze badania dopiero wyznaczyły im inne stanowisko, bardzo zaszczytne, bo twórców pierwszego systemu naukowego w ekonomii politycznej. Oni pierwsi sformułowali świadomie zasadnicze pytanie życia gospodarczego, mianowicie skąd biorą się bogactwa, czyli, innemi słowy, skąd powstają nowe wartości. A. Smith nigdy nie doszedł do należytego uświadomienia sobie tej kwestyi i teorya jego, w porównaniu z fizyokratami, jest co do tego punktu cofnięciem się wstecz. Fizyokraci rozwiązali powyższe pytanie odpowiednio do rozwoju sił wytwórczych Francyi, kraju rolniczego. Uznali oni, że tylko rolnik, górnik, rybak i inne podobne zawody są produkcyjne, to znaczy: jedynie oni stwarzają nowe wartości, przemysł przetwórczy zaś i handel, jakkolwiek pożyteczne, są pod tym względem zupełnie jałowe, tj. nie przysparzają bogactwa. Przyznawszy tylko rolnictwu stwarzanie nowych wartości, fizyokraci zajęli się zbadaniem praw podziału bogactwa, wyprodukowanego przez ziemian, pomiędzy warstwy społeczne. Było to dla nich najważniejsze zadanie teoretyczne, konsekwentnie wypływające z ich założenia zasadniczego. Co do zadań praktycznych, teorya prowadziła do popierania rolnictwa, jako jedynej siły, stwarzającej wartości, oraz do oparcia systemu podatkowego na czystym dochodzie z ziemi (dodajmy jeszcze, że prąd ten dążył do wywalczenia swobody dla wymagań życia gospodarczego). Zresztą nie włościanin-poddańczuk, ani pan feodalny, lecz dzierżawca-kapitalista był owym rolnikiem, którego interesy fizyokraci mieli na widoku. Byli oni w gruncie rzeczy teoretykami wybijającego się kapitalizmu, nieuświadamiającymi sobie roli dziejowej, jaką spełniali.

Zaznaczywszy charakter, właściwy teoryi fizyokratów we Francyi, J. Marchlewski przechodzi do rozbioru prądów, które pod jej tchnieniem zrodziły się u nas. Obraz to bardzo znamienny, bo doktryna ekonomistów francuskich traci swoje niektóre właściwości przy takiem przejściu z jednego kraju do drugiego. U nas stała się ona przedewszystkiem wyznaniem wiary tych szczerych patryotów, których marzeniem było znieść poddaństwo i zrobić włościan wolnymi obywatelami kraju. Pod ręką księdza A. Popławskiego dzierżawca - kapitalista fizyokratów zamienia się na chłopa, a ponieważ ten ostatni nie jest, osobą, prawnie wolną, przeto nasz ekonomista domaga się dania mu swobody. Argumentacya na korzyść przedsiębiorcy - kapitalisty staje się u niego szermierką na rzecz włościanina, przyczem Popławski oparł swoje żądania nie na frazeologii o tem, co jest sprawiedliwe, lecz na dowodach ekonomicznych, mianowicie że zniesienie poddaństwa jest koniecznością ekonomiczną, której domaga się rozwój społeczny ojczyzny. Jako teoretyk, ten pisarz powtarza dogmaty zasadnicze fizyokratyzmu, ale jako praktyk, odbiera doktrynie barwę burżuazyjną.

Drugim ekonomistą, piszącym u nas w tym kierunku, był H. Strojnowski, który nadto uległ już wpływom A. Smitha— w pracy J. Marchlewskiego jest kilka ustępów bardzo zręcznych, wykazujących, jak H. Strojnowski nie zrozumiał i nawet nie mógł zrozumieć pewnych kategoryj ekonomicznych, wniesionych do nauki przez ojca klasyków, z powodu niskiego rozwoju kraju. Wreszcie gdy teorya, skutkiem postępu gospodarczego, straciła już wzięcie na zachodzie Europy, u nas jeszcze istnieje jej zwolennik, „pogrobowiec fizyokratyzmu,“ W. Strojnowski. To opóźnienie wypływa znowu z rolniczego charakteru Polski.

W pewnej epoce, mianowicie w końcu w. XVIII, doktryna fizyokratyzmu panuje u nas niepodzielnie. Ślady jej spotykamy wszędzie, gdziekolwiek potrącano sprawy ekonomiczne, a zatem w broszurach i ulotnych świstkach, tak obfitych podczas sejmu czteroletniego, w pismach peryodycznych, w mowach poselskich. Argumentacya jest tam zawsze jednaka, tj. pisarze myśleli fizyokratycznie, lubo często prawdopodobnie nie czytali autorów. Taki ogólny prąd myśli jest dziełem warunków życia — teorya jedynie formułowała wzory, istniejące powszechnie i dawała niejasnym poglądom, narzucanym przez życie, wyraz członkowany. Zresztą zjawia się także krytyka, zdaniem autora bardzo trafna, pochodząca od H. Kołłątaja, ale nie sprawia przewrotu, ponieważ na to nie pozwalają istniejące stosunki, tymczasem gdy zarzuty mniej głę-

*) Dr. J. Marchlewski: *Der Physiokratismus in Polen* (Zürcher volkswirthschaftliche Abhandlungen). Zurich. Streszczenie, dokonane przez autora, patrz *Biblioteka Warszawska*, listopad, 1896.

bokie prowadzą do zmiany systemu teoretycznego tam, gdzie warunki społeczne tego się domagają — w Anglii. Na dobre nowy duch w ekonomii polskiej powiał dopiero od czasu wystąpienia hr. Skarbka, gdy w kraju nastały już pierwsze zwiastuny nastroju kapitalistycznego.

Wobec takiego rozpowszechnienia u nas teoryi fizyokratycznej nastręcza się pytanie, jaki wpływ wywarła ona na praktykę.

Zwolennicy reformy włościańskiej zawdzięczają jej przedewszystkiem swoje dowody. Fizyokratyzm w Polsce stał się doktryną, broniącą ludu wiejskiego. Jako ideologowie, pisarze polscy podchwycili z nauki mistrzów francuskich to, co z punktu postępu społecznego było najpiękniejszego w ich wywodach. Ale nic otrzymano stąd najmniejszych rezultatów: nigdzie i nigdy żadna teorya społeczna nie zmusiła klasy panującej do dobrowolnej reformy społecznej, którąby była z uszczerbkiem dla interesów odpowiedniej warstwy. „Francuscy myśliciele nawpół bezwiednie stają po stronie wybijającej się burżuazyi, i ta zwycięża. I uczniowie polscy z całą świadomością są po stronie uciemiężonych chłopów, i ci nie zyskują nic prawie. Taką jest potęga i bezsilność idei!“ Nadto doktryna fizyokratyczna doprowadza w Polsce do pierwszego powszechnego podatku, nałożonego na szlachtę. Już Popławski wypowiedział ideę, którą można uważać za pierwszy pomysł ofiary dziesiątego grosza. A chociaż nie był to ów wymarzony przez Quesnay'a „podatek jedyny,“ przecież nigdzie prócz Polski nie zbliżono się więcej do ideału fizyokraty francuskiego.

Pozwolimy sobie słowami autora dać ogólny obraz roli historyczoej, jaką odegrał u nas fizyokratyzm:

„Teorye w naukach społecznych, a szczególnie w ekonomii teoretycznej, powstają i przyjmują się w danem społeczeństwie zawsze zgodnie ze stosunkami społecznymi, jakie panują. Teorye są tylko odzwierciedleniem tych stosunków w głowach myślicieli. Tak też ma się rzecz z fizyokratami polskimi. Nie mogli oni wymyślić innych systemów podatkowych, jak te, na które pozwalał stan ekonomiczny kraju, pogrążonego w gospodarce naturalistycznej; nie mogli zalecać systemu opieki merkantylistycznej dla przemysłu i handlu, bo nie było warunków bytu dla takiego systemu; nie mogli stworzyć ani zalecać systemu kredytowego wobec pierwotnych stosunków wymiany. Natomiast musieli, zgodnie z całym poglądem filozoficznym swego czasu i ze stanem ekonomiczno-społecznym kraju, poddać się urokowi nowej nauki ekonomicznej. Myśleć nie-fizyokratycznie było sztuką naówczas w Anglii, niepodobieństwem w Polsce. Przy pomocy tego aparatu naukowego, jedynego, który wtedy nadawał się do badania, trzeba było wykryć źródła niedomagania gospodarstwa społecznego. To właśnie uczynili fizyokraci, upatrujący przyczynę upadku rolnictwa, jedynej podstawy ekonomicznej kraju, w niewoli chłopa. Więcej wymagać od teoretyków nie mamy prawa.“ *Ż.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

G. Meredith: *The Ordeal of Richard Feverel. — An amazing marriage*, Londyn, 1896.

Jak daleco wpływy wychowania mogą działać na los nasz i charakter?“ — jest to dla psychologa kwestya pierwszorzędnej wagi. Meredith poświęcił jej jedną z najlepszych swych powieści. Zjawiła się niegdyś w Anglii książka p. t. „Notatki pielgrzyma.“ Był to zbiór maksym, sentencyj i aforyzmów. Odgadywano w autorze człowieka, który zbył się wielu złudzeń, i głęboko zranionego. Pomimo to, a może właśnie dlatego, jego myśl miała dwa oblicza: ironiczne i dobrotliwe, kąsała i pieściła naprzemiany. „Jestem szczęśliwy — mówił naprzykład — gdy mi się objawiają wady mego sąsiada,“ ale pod mizantropią tych słów ukrywała się myśl tolerancyi

Na jednym tylko punkcie autor aforyzmów był nieubłagany: trudno pojąć, jak człowiek mógł być tak surowym dla kobiet. On, który traktując o wszelkich innych przedmiotach, był pełen oglądy i grzeczności, gdy dotykał tej sprawy, tracił wszelką równowagę, wzrok mu się mącił, a gorycz płynęła z pod jego pióra. „Należy spodziewać się — mawiał ze szczególną powagą—że po podbiciu reszty świata, człowiek nareszcie ucywilizuje i kobietę...“ I tę zniewagę wygłaszał z zimną krwią najbardziej ustalonego przekonania.

Książka miała wielkie powodzenie, zwłaszcza śród kobiet. Autor wydał ją bezimiennie, ale w myśl własnego aforyzmu: „Wierzysz, iż kobieta cię uwielbia, ale ona się zadurzyła nie w tobie, lecz w trudności,“ zaintrygowane panie pokonały tę trudność i wykryły autora, którym był bogaty sir Austin Feverel, baronet.

Na nieszczęsnego baroneta posypały się stosy reklamacyj, a niektóre panie zwróciły się nawet do jego gościnności, żeby módz swobodnie dyskutować z nim o niektórych drażliwych punktach jego teoryi. Sir Austin uważałby za wykroczenie przeciw obowiązkom, gdyby nie podniósł rzuconej rękawicy. Podwoje Raguban-Abbeg'u rozwarły się przed rojem pięknych pań, które utworzyły rodzaj trybunału dla sądzenia poglądów Feverela. Pewnego dnia przedstawił on ich rozstrzygnięciu podwójną hypotezę: kobiety, która po rozbiciu okrętu wpada na wyspę, zamieszkaną wyłącznie przez mężczyzn, i mężczyzny, który w tymże wypadku znalazłby się śród kobiet. Panie jednogłośnie zawyrokowały, że kobieta, nawet gdyby wpadła między najbardziej pierwotnych dzikusów, byłaby natychmiast uważana za bóstwo i stałaby się przedmiotem powszechnych uwielbień. A co za los czekałby mężczyznę? W najlepszym razie zrobionoby zeń tylko króla, ale król może się ożenić i zjawiłoby się naturalnie pytanie, do kogo ten wyrzutek ma należeć. Po pewnym namyśle panie jednogłośnie orzekły, iż nieszczęśliwiec byłby poszarpany na kawałeczki, nie spostrzegając, że w ten sposób potwierdzają zdanie, jakoby w kobiecie instynkt przywłaszczania górował nad uczuciami bardziej szlachetnemi. Sir Feverel tryumfował na całej linii.

Ale panie czuły pod maską Dyogenesa jednego z tych słabych, który staje się ich ofiarą. Odstraszył je wszelako ostatecznie swym „systemem,“ który wykładał w sposób następujący: „Grzech jest czynnikiem obcym naszej krwi. Trzeba w nim widzieć pewną chorobę, przeciw której walczymy od czasów Adama i którą możnaby było nazwać chorobą jabłka. Jest więc błędem i występkiem spoglądać na młodzież jako fatalnie podległą grzechowi. Wąż istnieje w każdym z nas; ale tryumf inteligencyi ludzkiej jest w tej sprawie zapewniony każdemu, kto zechce walczyć z potworem. Przypuśćmy, iż syn mój jest dumny. Duma jest mieszaniną, w której dobro i zło równoważą się w proporcyach należytych. Pobudza ona syna mego do uważania się za wyższego od swych bliźnich: zróbmy tak, aby ich rzeczywiście przewyższył. Gdy dojdzie do tego punktu, błąd jego rozwieje się sam przez się, skutek zwycięży przyczynę, inteligencya — dumę.“

Raj odrodzi się na ziemi, zdaniem sira Feverela, z dniem, gdy każdy ojciec, spoglądając poważnie na swą odpowiedzialność, zapatrywać się będzie na życie w sposób czysto naukowy. Pomiędzy młodzieżą i zepsuciem wzniesiony będzie mur nieprzekraczalny. Zdrowie fizyczne i energia moralna, wytworzone w wychowaniu, będą dostateczną obroną w chwili, gdy „choroba jabłka“ się objawi. Do takiego stanu doskonałości baronet chciał doprowadzić swego syna.

Panie drogą intuicyi doskonale widocznie odgadły, co sir Austin rozu[illegible]ł pod „chorobą jabłka,“ gdyż wszys[illegible]kie powstrzymały ciekawość niezad[illegible]loną i wyjaśnień nie żądały, ale cała t[illegible]eorya wcale im do smaku nie przypadł[illegible] Zaczęły znajdować Feverela nieznoś[illegible] i jedna po drugiej wyniosły się z za[illegible]

Przyjaźń swą zachowała mu [illegible]ż nie młoda, ale piękna lady Blandish. [illegible]ieg lat nie zdołał złamać harmonii jej [illegible]ij i ruchów. Tchnie ona litością i współczuciem dla sira Feverela, który pod sarkazmami ukrywa głęboką, acz już zabliźnioną ranę. Porzuciła go niegdyś żona, uciekłszy z lichym poetą. Stąd jego maska wesela i złośliwości. Chował swą rozpacz, pił ją pokryjomu, jak pijak egoista, który samotnie pochłania wino. Rozumiał, iż tu zranionym pomagają współczuciem tylko po to, aby ich dobić. Trzeba być podobnym do gladyatora, który umiera z uśmiechem. Chciałby przynajmniej syna, Ryszarda, uchronić od własnych swych zawodów i dlatego zajął się starannie jego wychowaniem w sposób czysto naukowy.

Wszystko, co tylko wiedza, hygiena, gimnastyka, moralność użyczają pedagogice w jej trudnem zadaniu, użyte było w danym razie dla wytworzenia tego cacka i arcydzieła. A jednak skutek pożądany nie był osiągnięty.

W młodości spoglądamy na ludzi, jak na szereg łagodnych cieniów, które trzeba nakarmić, chociażby własną krwią. Z czasem, gdy cienie te nas dobrze podrapią i pokąsają, spostrzegamy, iż za każdym człowiekiem ciągnie się bez końca chór przodków, śród których znajdują się ciżby niezliczone pawianów i orangutangów o iskrzących się oczach i zwierzęcych grymasach. Tę wizyę, którą nauka potwierdza, sir Feverel spuścił z oka.

Wydawało mu się, iż zna wszystkie siły, działające w duszy Ryszarda, iż gra na nich, jak artysta na instrumencie, iż staranną hodowlą może jedne wytępić, drugie rozwinąć. Sądził, iż wszystko przewidzi w losie swego syna i że wychowaniem naukowem doprowadzi go do pewnego portu szczęścia. Płonne nadzieje! Czemże są kilkoletnie wpływy wychowania wobec sił odwiecznych, które w ciągu milionów lat złożyły się na wytworzenie osobowości każdego z nas? Niczem. Każdy zawiera w sobie całą przeszłość człowieka i zwierząt na ziemi, jest chaosem złożonym z miliardów istnień i ich błędnej pielgrzymki po drogach żądzy i nadziei, rozkoszy i cierpień. Uginamy się pod ciężarem wszystkich tych wspomnień niejasnych, które odziedziczamy w formie wrażeń, uczuć i instynktów. One idą gdzieś w przyszłość, jak dzika horda, stłumiona, zmieszana, pełna wrzasku. Nasza wola uważa się zwykle za ich kierowniczkę. Złudzenie! To ich pochód ją porywa. Ona nie jest ostatecznym akordem, ani duszą tego tłumu, lecz tylko jednostką w szeregu. Ona się gubi w falach tego morza. Czyny, które uważamy za swoje, do nas nie należą. To marzenia, zgryzoty, sny i żale istot dawno umarłych w nas żyją i postępują. Jesteśmy z nich zrobieni.

Wpływy wychowania mają [illegible] najwyżej wagę zewnętrzną, mniej więcej, jak odzież. Można nosić cylinder lub czapkę,

można być dobrze lub źle wychowanym. Ot i wszystko. Żeby zmienić siły wewnętrzne, które są właściwem źródłem naszych uczuć i czynów, trzebaby działać na dziedziczność. Prawa tej potęgi są już po części wykryte; przyszłość na pewno ujmie w dłoń tę dźwignię i wówczas istotnie wpływać będzie na losy ludzkie. Tymczasem iluzye co do wychowania pozostaną tylko iluzyami — takie jest zdanie Mereditha, które i w nauce ostatnimi czasy coraz głębszego nabiera znaczenia.

Sir Feverel sądził, iż zna w swym synu wszystko, iż założył brzegi i tamy moralne niewzruszone, o które fale instynktów rozbijać się będą. Tymczasem, gdy pierwsza namiętność ryknęła, wszystkie te fortyfikacye, owoc osiemnastoletniej pracy, prysły jednej chwili, jak gdyby ich wcale nie było. Autor z wielkim humorem przedstawia zabiegi sira Feverela w celu wynalezienia dla Ryszarda żony, także wychowanej w sposób czysto naukowy, wedlug wszelkich zasad hygieny, moralności itd. Gdy on tak zajęty tą sprawą biega po Londynie, syn jego poznał czarującą dziewczynę: wnuczkę ubogiego fermera z sąsiedztwa, pokochał ją, zdobył jej wzajemność, uciekł z nią i ożenił się.

Rozpacz starego Feverela nie miała granic. Niepoprawny doktryner uważał to za zwykły wybryk młodzieńczy i, chcąc zdobyć ponownie władzę nad synem, uwolnić go od niezależności i postawić znowu „na drodze ku szczęściu," stara się usidlić go wdziękami pięknej i przebiegłej kurtyzany. Dopiął celu, ale ceną jakich klęsk! Po chwilowem zapomnieniu zgryziony Ryszard ucieka od ludzi, chciałby uciec od siebie, naraża się na pojedynek, jest ciężko raniony, a nieszczęsna jego żona, zwichnięta wszystkiemi temi wzruszeniami, umiera marnie. Ciało Ryszarda uratowano, ale dusza jego zabitą została. Ten dwudziestoletni młodzieniec, po wyzdrowieniu, uśmiechał się starym znużonym uśmiechem, który wydawał się już zużytym przez innych.

Wobec nieubłaganych żywiołów, które rządzą życiem ludzkiem, przystoi nam nie zarozumiałość, lecz jasność umysłu i pokora — zdaje się mówić autor. Tylko śmiech jest odwetem człowieka względem losu, jedynym sposobem wymknięcia się z jego szponów. Cała powieść pisana jest w tonie ironii. W roku ubiegłym Meredith wydał nową książkę.

„An Amazing Marriage" przenosi nas do epoki odległej o lat 50, do czasów bajronizmu. Bohater powieści, lord Flettwood, jest właśnie jednym z ekscentrycznych i wielkopańskich fantastów, którzy napełniali wrzawą swych awantur Anglię ówczesną. Niezmiernie bogaty, piękny i młody, otoczony dworem pasorzytów i zalotnic, spędzał więcej czasu w stajni, niż w uniwersytecie. Pogarda ludzi, kult danego słowa, pogoń za przygodami — wyczerpują charakterystykę bohatera.

Będąc przejazdem w małem miasteczku austryackiem, spotyka piękną dziewczynę, Karyntyę, nie mniej dziwną, niż on sam. Jest to natura wolna i dzika, zmienna jak kameleon, nietylko duchowo, ale i fizycznie: chwilami jest czarująco piękna, to znowu prawie brzydka. Lord Fleetwood widzi ją po raz pierwszy, gdy dokonała niebezpiecznego skoku ze skały. Zachwycony oświadcza się wieczorem tegoż dnia. Jest przyjęty i staje do ślubu, ale wnet po nim znika. Karyntya, która dotychczas była uległa i kochająca, zraniona do głębi serca, pała zemstą. Gdy Fleetwood skruszony wraca i błaga o wybaczenie, ona z pogardą się odsuwa i staje się siostrą miłosierdzia. Bohater wstępuje do zakonu mnichów w Styryi.

Wszystko to w krótkiem sprawozdaniu wydaje się sztucznem i nieprawdopodobnem, ale Meredith jest takim mistrzem słowa i takim władcą dusz, iż jakby umyślnie stawia sobie najtrudniejsze zadania doraźnych, gwałtownych zmian duchowych. Wychodzi zwycięzko ze wszystkich tych skoków psychologicznych. Nawet wstąpienie Fleetwooda do zakonu nie wydaje się nieprawdopodobnem, gdyż Karyntya to biała, czuła, ale także dzika i ironiczna rusałka, za którą wszystkie nadzieje lecą stadem, jak żórawie emigrujące ku słońcu.

Dr. L. W.

LITERATURA POLSKA

Sewer, *U progu sztuki*, powieść współczesna w dwóch tomach.

Powszednie dzieje gromadki prowincyonalnych „komedyantów" i „komedyantek," przenoszących się z Bochni do Rzeszowa, z Rzeszowa do Kołomyi, z Kołomyi do Sącza, domierających z głodu w jednem miejscu, zarzucanych kupami guldenowych papierków w drugiem, „robiących" Hamleta dlatego, żeby mieć co zjeść, jedzących wyłącznie w tym celu, aby módz „robić" Hamleta — przedmiot ten, zdawało się, nie zdoła pociągnąć ku sobie uwagi pisarza, co się w ostatnich czasach tak głęboko zagrzebał na wsi i tak niepodzielnie ukochał cichy żywot sielski, zanurzył się w spraw jego potoku gładkim, szerokim, równo, jednostajnie rozpłyniętym. Ale zapisane snadź zostało w księgach przeznaczeń, że tylko od partaczów i mólów niespodzianek oczekiwać nie trzeba.

Temat rzeczywiście nowy, ale metoda przedstawienia — znana. Sewer przypomniał ją sobie w dwudziestą rocznicę swych „Szkiców z Anglii." Garściami rozsypując dokoła spostrzeżenia błyskawiczne, sceny krótkie, ucinane, dyalogi wiotkie, swobodne, ruchliwe, do nieskończoności zmienne, autor pędzi przed siebie, aby dalej, aby prędzej, nie troszcząc się wcale o to, czy sytuacya interesująca przystanie do dzisiejszej, czy charakterystyka wczorajsza dopisze onegdajszej. Traf związał, traf rozwiąże i w tej niekonsekwencyi spoczywa może największa konsekwencya życia.

Rozbitkami i wyrzutkami społeczeństwa w ścisłem znaczeniu wyrazów nie są przygodni, następnej doby niepewni i o nią niedbający dorabiacze ciał do stworzonych przez kogoś innego ideałów, chociaż nie brak tu i okruszyn społecznych. „Mam zaszczyt się przedstawić: Hortensya Pałczyńska, zwykle Horcia *tous cas*, to znaczy do wszystkiego, do wszystkich ról, do zapychania wszystkich luk... Z młodości, przy guwernantce, mówiłam ciągle po francusku..." Tak się prezentują wybiórki, napływający do progów sztuki tak samo, jak my wszyscy, w pogoni za chlebem, do przedpokojów Żydów spanoszonych lub panów zżydziałych, do biur kolejowych lub redakcyjnych, do służby przy ołtarzu lub przy stajni. Ale wśród nieunikionego i nieodzownego tego balastu wszelkich przedsięwzięć i wypraw ludzkich, wielkich czy małych, zamorskich czy zaświatowych, a nawet w samym tym balaście, gąsienica wyłącznego trawienia pokarmu — wyjątkiem; regnią zaś — motyl tęsknoty do „nieznanego bóstwa" piękna, dobroci, prawdy, doskonałości. W morzu piasku przesypującego się z wiatrem od jednej do drugiej środowiskowej pustki, w przelownym tym tłumie cyganeryi szukającej przytułku, noclegu i „występku" (to jest wystąpienia) w najbliższej, niezwalonej jeszcze „budzie," nie przestaje połyskiwać, a niekiedy to i świecić blaskiem niespożytym bezinteresowny, ofiarny, gorący promień artyzmu. I na tem się zasadza prawdziwe mistrzowstwo Sewera, że ów chwiejny, błędny ognik umie pokazać wtedy, gdy sprawozdawca potrafi istnienie jego zaledwie pochwycić, zaznaczyć, gdyż jest on wszędzie i nie ma go na żadnej poszczególnej stronicy.

Nie prędko oswajamy się z tym światem. Nędza, tak samo jak i bohaterstwo, ma swój osobny kult i rytuał, swoje osobne prawa i obyczaje, swoją osobną moralność i mowę. Lata liczą się tu na benefisy, miesiące na pierwsze przedstawienia, tygodnie na spożyte obiady mięsne. W rozmowie słyszysz urocza i jak księżyc w nowiu niewinną Dziunię, powiadającą pobieżnie, jak gdyby chodziło o nabycie nowych trzewików: „przed przyjazdem do Rzeszowa, kiedyś jeszcze był moim mężem..." — wytrzeszczasz oczy na Hipka, do którego te słowa się stosują, jak na wdowca lub nieboszczyka, a wreszcie uśmiechasz się nad własną niedomyślnością, przypuszczając, iż chodzi zapewne o jakieś dawniejsze wystąpienie wspólne w Romeo i Julii. Uchowaj Boże! — rzecz najrealniejsza z możliwie realnych. Przepisy dekalogu, sakramenty — wierzą w to aktorowie nie gorzej od reszty śmiertelników; różnicy tyle tylko, że dokładniej wiedzą, gdzie się kończy rzeczywistość, a gdzie się zaczyna to, co „robione." Małżeństwo — sprawa niewątpliwie zacna i poważna, dopóki trwa miłość, jego istota; a co do reszty fikcyjnej, ma się tego do syta w „budzie" — na deskach teatralnych; w domu, u siebie, sam na sam, byłoby to wstrętnem, stawałoby kością w gardle.

Łatwość pożycia, prostota obcowania, zamknięta najzwyklej w obrębie korporacyjnego godła: „swoi dla siebie," bardzo często, bezwątpienia, wystawia postronnych na pokusy, ale toż nieraz i na zawód dotkliwy. Nie poskąpmy sobie malowniczego przykładu. Po przybyciu trupy do Bochni miejscowi przedstawiciele szlachty i armii zaprosili Towarzystwo z paniami na wieczerzę do Hanczla. Damy zostały odrazu wzięte, upojone i zachwycone. Mężczyźni nie podnosili oczu z nad półmisków. Było co sprzątać. W końcu nawet Borysławski, chłop jak wieża Maryacka, złożył sztuciec. Zawołano o szampana. Służba wniosła kosz wyrobu Popczkin i Białokwaski. Zaczęto pić, toastować, sypać dwuznacznikami, śmiać się głośno, dokazywać. Towarzystwo zaśpiewało „Jeszcze Bochnia nie zginęła..." — A teraz — zawołał nagle rotmistrz od dragonów — teraz *kochajmy się!..*" Wyciągnął rękę i kurek od rury palącego się gazu zakręcił. Zrobiła się noc ciemna. Młodzież, siedząca przy damach, pochwyciła je w objęcia... Powstał pisk, krzyk, harmider; aktorzy rzucili się na pomoc kobietom. Borysławski dusił już w kącie dwóch drabów we własnych ich akselbantach. Mama namacała ręką Dziunię i twarz młodego oficera, który się wpił w jej usta. — „Zdrada!" — wrzeszczała — „zdrada!" — i pochwyciwszy oficera za czuprynę, z całych sił ciągnęła go od Dziuni. Drugą ręką przetrząsała w ciemnościach swoją spódnicę... Znalazła. „Za mną — krzyknęła — za mną!" — Namacała okute niskie drzwi piwnicy, otworzyła, wyjęła klucz i wepchnąwszy Dziunię, zapaliła zapałkę... Walka wrzała, aktorzy tłukli oficerów i szlachtę, szlachta i oficerowie aktorów. Borysławski potykał się teraz o naiwną z Dziarskim, okładając go stołkiem. Komicy szarpali rotmistrza. Dwaj tragicy, czołgając się po posadzce, chwytali jak brytany oficerów za łydki. Uwolnione z objęć kobiety uciekały w kierunku światełka... Zapałka w ręku mamy zgasła; w ciemnościach walka się rozsrożyła. Wypierani aktorzy cofali się ku żelaznym drzwiom... Trysnęły promienne strugi drugiej zapałki, aktorzy stoczyli się po kilku schodach do piwnicy. Szlachta i armia zabierali się do

przypuszczenia szturmu. Szczęściem dla aktorów na dole przy schodach stały dwa kosze próżnych butelek. Borysławski cisnął dwiema naraz bombami. Do pomocy mu w ostrzeliwaniu wyjścia stanęli komicy, Janek, Lodzio. Kanonada szła siarczyście. Butelki wylatywały z otworu piwnicy gradem i oślizgując się o łby napastników, z przeraźliwym brzękiem i chrzęstem rozbijały się o ścianę przeciwległą. Gdy ostatnia butelka wyleciała, mama zatrzasnęła drzwi...

Ma się rozumieć, życzliwość i współczucie rodzące się w nas do tej zacnej, serdecznej hołoty w miarę, jak z nią zabieramy coraz bliższą znajomość, nie koniecznie gruntują się i rosną na zajściach i awanturach powyższego typu. Nie brak atoli w powieści „kawałków“ bez porównania łagodniejszych, weselszych. Oto główny bohater książki, gołowąsy Janek, odczuwający w swej piersi od kolebki niemal ognie prometejskie, dostaje się zziębły, na pół martwy, do plebanii. Zacnemu proboszczowi, litościwej jego gospodyni, dobrodusznej służbie skruszonym sercem wyznaje grzeszną swą namiętność do „komedyanctwa“ i bałamutnych zmyśleń. Opatrzonego, pobłogosławionego na drogę poprawy i powrotu do pobożnych zajęć w domu rodzicielskim — odwieźć ma porządnie wyładowana fura księżowska. Pleban i gospodyni, pod wieczór, wyszli właśnie do czeladzi w kuchni dla dania ostatnich zleceń. Do izby, gdzie się zebrały prządki ze wsi całej, a przy nich parobcy szczerzący zęby, wchodzi karczmarka pytając, czy czasem nie zachodził do kuchni młody Żydek — targował pierze, nie mogli się zgodzić na razie. Dało się słyszeć pukanie... We drzwiach się bojaźliwie ukazał Żydek... — „To ten“ — powiedziała Żydówka i dalejże szwargotać z nim pół po żydowsku, targując się o pierze. Żydziak stawiał się hardo, przyskakiwał do Żydówki, spluwał pogardliwie, udawał wielkiego kupca. Dziewki w śmiech, parobcy za niemi, za parobkami gospodyni, za gospodynią jegomość. Żydzina, zachęcony zadowoleniem powszechnem, jął opowiadać o swych nadziejach w przyszłości... On się ożeni z Surą, założą sklep, Sura tak oto częstować będzie pp. oficerów i szlachtę, a sam on delikatnie i po pańsku stać za ladą... Pokazywał jak w lecie, w szabas, pojdzie z Surą na spacer, on w nowym chałacie, ona pod parasolką... Oszołomiony wybuchami radości, coraz wymowniej wystawiał z kolei swoje wesele z Surą, tak oto pod baldachimem stłucze szklankę nogą, tak oto następnie zatańczy z panną młodą majufes. Podkasał poły, końce podciągnął za pas czarny, włóczkowy, zaczął zcicha pośpiewywać i tańczyć, z początku wolno, później coraz szybciej. Śpiewał z zapałem i tańczył z namiętnością. Pantofel zleciał mu z nogi, uderzył o sufit, spadł pod nogi gospodyni... Podniosła go, wpatrując się ze zdumieniem, oczom swoim nie wierząc. Taniec i jęczący śpiew szły coraz szybciej, coraz energiczniej. I trzebaż nieszczęścia — wśród szalonych podskoków broda Żydowi odleciała. Jegomość trzymał się za boki, Żydówka zmęczona śmiechem usiadła, rozbawione dziewki radeby już były polecieć w tany, parobcy aż się pokładali z radości... Pierwsza gospodyni, obejrzawszy ponownie pantofel, oprzytomniała... Poskoczyła, uderzając Żyda w kark pięścią. Żydzina zdjął czapkę i jarmułkę, pejsy mu się odkleiły — ukłonił się i wybiegł z izby...

Hip. Taine porównał gdzieś powieść (z czasów Dickensa i Tackeraya) do kąpieli, w którą się zwolna, stopniowo zasuwamy. Dosłownie wrażenia tego doświadczamy w opowiadaniach Sewera. Czujemy do nich z początku pewien przymus, pewną odrazę, ale od książki oderwać się już prawie nie możemy, gdy się w niej zanurzymy.

Hodi.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Chcąc oddać należny hołd prawdziwej wartości artystycznej, odstąpimy tym razem od chronologicznego porządku — zaczniemy od koncertu ostatniego, który z całego szeregu poprzednio słyszanych najsilniejszych i najdoskonalszych dostarczył nam wrażeń. Nie był to wszakże koncert uświetniony współudziałem głośnego obcego wirtuoza; program wykonała nasza orkiestra teatralna, wzmocniona zastępem uczniów instytutu muzycznego, wespół z Barcewiczem. Skądże więc te niezwykłe i jedyne w swoim rodzaju wrażenia? Oto przed pulpitem dyrektorskim stanął rozgłośnej sławy kapelmistrz lipskiego „Gewandhausu“ — klasycznego przybytku muzyki — p. Artur Nikisch, i dowiódł, że tą sławą cieszy się najzupełniej zasłużenie. Łatwiej jednak przyszło nam przyznać mu prawa do rozgłosu, niż je uzasadnić, objaśnić czem je zdobył i na czem utrwalił. Czy niesłychane efekty (np. rozprowadzenie na waltornie motywów z uwertury do „Tannhäusera“), jakie za sprawą jego pałeczki wydobywają się ze zbiorowego ciała orkiestrowego, są wynikiem mozolnych studyów nad instrumentacyą i harmonią, czy też błyskami intuicyjnemi niepospolitej organizacyi artystycznej — nie pokusimy się orzekać; zresztą takie dociekanie postaci rzeczy nie zmieni, p. Nikisch jest kapelmistrzem genialnym,—oto jedyne odpowiednie dla niego określenie; urodził się dyrektorem orkiestry, podobnie jak inny rodzi się artystą-skrzypkiem, fortepianistą, czy śpiewakiem. Program koncertu (w teatrze Wielkim d. 12 b. m.) obejmował dzieła Beethovena (uwertura „Leonora“ nr. 3), Czajkowskiego („Symfonia c moll“), Brucha („Fantazya szkocka“), Schuberta („Symfonia niedokończona“) i Wagnera (uwertura z „Tannhäusera“) — szły więc w parze nazwiska mistrzów pierwszorzędnych z mistrzowskiem wykonaniem. „Fantazyę“ Brucha odegrał Barcewicz przy akompaniamencie orkiestry i fortepianu (p. Urstein), a samo nazwisko jego uwalnia nas od powtarzania komunałów o jego artystycznej interpretacyi. P. Nikisch odbył z orkiestrą naszą jedną, czy też dwie próby — a jeśli jest to z jednej strony nowym dowodem jego kapelmistrzowskiego talentu, niemniej świadczy z drugiej, że mu rzeszę grających doskonale przygotował Zygmunt Noskowski, który poprzednio z nimi miewał próby.

Wyznajemy szczerze, iż zasłyszawszy o owych organizowanych przez instytut muzyczny koncertach pod dyrekcyą p. Nikischa (drugi odbędzie się d. 27 b. m.) mieliśmy poważne wątpliwości, czy nasza orkiestra teatralna zadaniu temu sprosta, a już zwątpiliśmy zupełnie po wystawionych w dniu poprzedzającym koncert „Hugonotach,“ w których tak jaskrawo uwydatniła się dezorganizacya, jaka się do orkiestry, skutkiem braku odpowiedniego dyrektora, wkradła. Mamy ich wprawdzie dwóch, ale p. Trombini choruje, a p. Spettrino powinienby jeszcze przez dobrych parę lat wprawiać się w dyrygowaniu orkiestrą jakiego małego teatru włoskiego; może nabrałby wówczas poczucia rytmu i tempa i zdołałby rozproszyć tę atmosferę ospałości, jaka podczas wykonywanych pod jego batutą oper panuje śród instrumentów i z konieczności udzielać się musi śpiewakom,—jeśli nie wykonawcom partyj głównych, to przynajmniej chórom.

Wykonanie „Hugonotów“ (d. 11 b. m.) było wprost rozpaczliwe, pomimo udziału tenora opery petersburskiej, p. Fignera. Akompaniament np. do słynnego romansu Raula w akcie pierwszym, napisany przez Meyerbeera na t. zw. *viola d'amour*, a wykonywany u nas przez altówkę, był taki najeżony fałszami, że trudno się dziwić p. Fignerowi, iż romansem tym nie wywarł należytego wrażenia. Co prawda, nie bardzo usprawiedliwił śpiewak i w dalszem wykonaniu trudnej partyi Meyerbeerowskiego bohatera tę sławę, jaką się cieszy. Głos, silnie brzmiący w wyższej skali, ma dźwięk pospolity, wysokiemi nutami widocznie nie rozporządza, skoro artysta do znużenia posługuje się falsetem, a słynny septet pojedynkowy (akt III-ci) śpiewał o dwa półtony niżej, niż w oryginale, przez co zatarło się zupełnie zwykle osiągane tu przez tenorów wrażenie. W duecie aktu IV-go rozgrzał się artysta i miał chwile szczęśliwe, nadużywał i tu wszakże efektu okrzyków *parlando*; wprowadzone do oper ostatniej doby okrzyki takie „modernizują“ może Raula, ale nie wydają nam się zgodne ze stylem i duchem dzieł Meyerbeerowskich. Pod względem aktorskim ma p. Figner pomysły dobre i indywidualne, dykcyą rozporządza wyraźną, frazuje poprawnie.

Dzięki pięknemu głosowi i szlachetnej, choć zbyt powściągliwej grze p. Grąbczewskiego, niewielka rola hr. de Nevers wysuwa się zawsze na plan pierwszy; szkoda, że młody artysta tak mało pracuje nad wyrobieniem temperamentu aktorskiego. O p. Silichu możemy powtórzyć tylko to, cośmy już tylokrotnie na tem miejscu mówili — „odśpiewał“ partyę Marcella i taki był zadowolony, że mu na nią potężnego głosu starczyło, iż ani dbał o nadanie jakiego takiego charakteru wiernemu słudze. P. Crotti był przyzwoitym Saint-Bris. Trudną rolę Walentyny dźwigała na swych barkach p. Borelli-Angelini i — nie dała nam ani jednej chwili prawdziwego zadowolenia. Wszystko, co o niej powiedzieć możemy jest, że to artystka „pewna,“ w „ensemble'u“ nie zawiedzie, solo wykona poprawnie, w grze aktorskiej nie brak jej temperamentu, — ale cóż, kiedy głos, w wyższych tonach zwłaszcza, jak zgrzytem szarpie nerwy, w niższych zaś pozbawiony jest tego metalu, co to dźwiękiem swoim echo w sercu budzi. P. Monti-Baldini (paź) i p. Skulska (królowa) „dostrajały się do całości“ — jak chce utarte wyrażenie.

Pożegnała nas pani Saville, ustępując miejsca pani Arnoldson, która kilku występami (Mignon, Małgorzata, Gilda itd.) przypomniała się naszej publiczności jako wytrawna śpiewaczka. Pożegnał nas i p. Kaschman, a przed pożegnaniem złożył daninę na ołtarzu dobroczynności. Wziął udział w koncercie, urządzonym na V-tą szwalnię (d. 4 b. m. w sali Ratuszowej), na którym, oprócz szeregu pieśni obcych, zaśpiewał po polsku „O matko moja“ i „Kozaka“ Moniuszki, i tu raz jeszcze dowiódł, jak wielkim jest artystą—wykonał oba utwory z takiem poczuciem i zrozumieniem ducha, iż trudno było uwierzyć, że śpiewa je cudzoziemiec. Na tymże koncercie zapoznała się publiczność nasza z żoną artysty, panią Emmą Kaschmanową, śpiewaczką obdarzoną dźwięcznym, bardzo dobrze wyrównanym mezzosopranem i pełnym werwy temperamentem, sprawiającym, że drobne pieśni hiszpańskie najlepiej w jej wykonaniu się wydają. Nadto w wykonaniu programu koncertu dobroczynnego wzięli udział Barcewicz i Józef Wieniawski, oraz p. Lüdowa i p. Frenkiel, którzy w wielce stylowych strojach odegrali scenę z I-go aktu dramatu St. Kozłowskiego „Esterka,“ kiedy Wierzynek przynosi Esterce w szkatule dary królewskie. *Br. N.*

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała ponownie w dwóch tomach *Tłómaczenia* A. E. Odyńca, w których mieszczą się: Korsarz, Narzeczona z Abydos, Mazepa, Niebo i ziemia — Byrona, Czciciele ognia, Peri i Raj — T. Moora, Dziewica Orleańska, Graf Habsburg — Schillera, Dziewica z Jeziora, Pieśń ostatniego Minstrela, Zamek Kadyów, Wieczór przed św. Janem — Walter Scotta, Leonora, Myśliwiec, Wierność — Bürgera, Świetlana — Żukowskiego, Róża — Southeya, Baśń o uśpionej królewnie — Żukowskiego, Baśń o złotym kogutku — Puszkina.

SOCYOLOGIA. Ks. K. Niedziałkowski ogłosił nakładem Paprockiego „studyum o emancypacyi kobiet“ p. t. *Nie tędy droga, szanowne panie* (231 str.). Którędy? — łatwo odgadnąć.

PRAWO. J. J. Litauer, adwokat, wydał bardzo praktyczną książeczkę: „O terminach i trybie podawania skarg w sprawach administracyjnych Królestwa Polskiego“ (47 str.).

MATEMATYKA. Pod redakcyą S. Dicksteina zaczęły wychodzić zeszytami (4 do 6 rocznie, prenumerata rs. 3, z przesyłką rs. 3 kop. 60) *Wiadomości Matematyczne.*

PRZEKŁADY. W bibliotece, wychodzącej nakładem Ottona Hendla w Hall, p. t. *Bibliothek der Gesamt Litteratur des In und Ausländer*, wydano osiem tomików p. t. *Polnischer Novellenbuch*. Mieszczą się tam utwory Aleksandra Świętochowskiego, Józefa Korzeniowskiego, Michała Czajkowskiego, Gomulickiego, Rutkowskiego, Czesława Jankowskiego, Nagody i Pieniążka.

W DALI.

Radom. Poruszono projekt nadania nazwy „Mickiewicza“ ulicy, otwartej w tych dniach i dotąd jeszcze bezimiennej. Prowadzi ona od dworca kolejowego do ul. Lubelskiej, tj. do środka miasta. — Prezydentem miasta zamianowano p. Konstantego Zarembę. Był on dotychczas sekretarzem rady dobroczynności publicznej gub. Radomskiej.

Kalisz. Spis jednodniowy wykrył ciekawe zjawisko: W Kaliszu zmniejsza się liczba mieszkańców, a więc miasto upada. Według spisu, dokonanego w r. 1882, liczył on około 22,000 mieszkańców; dzisiaj zaś liczy 20,752; zatem po 18 latach ubyło półtora tysiąca.

Płock. Towarzystwo wzajemnego kredytu już całkowicie zorganizowano i zwołano pierwsze zgromadzenie ogólne, na które przybyło 126 członków. Wybrano do zarządu pp.: G. Kühna (obywatela m. Płocka i prezesa dyrekcyi Tow. kred. miejskiego), oraz adwokatów przysięgłych: Jana Ligowskiego i Jana Święcickiego; do rady pp.: Węgierskiego (obyw. ziemsk.), Wolffsohna, Piechowskiego (obyw. ziemsk.), Budzyńskiego, Grzebskiego, Kwasieborskiego (obyw. ziemsk.), Sieklnckiego (ob. ziemsk.), Blumberga i Bronlewskiego; do komisyi rewizyjnej pp.: Barczaka, Jarockiego i Plocera. Biuro nowego Towarzystwa tymczasowo mieścić się będzie w lokalu biura dyrekcyi Towarzystwa kredytowego miejskiego.

Kijów. *St. Pet. Wied.* podają szczegóły rozruchów w Szpole. Dn. 18 lutego o godz. 3-ej po południu olbrzymi tłum włościan wpadł do miasteczka i rozbił doszczętnie sklepy, domy i składy, należące do Żydów. W ciągu mniej więcej czterech godzin mnóstwo bogatych sklepów, sklepików i setki domów stały się pastwą tłumu, który szalał z jakąś żywiołową siłą, niszczył wszystko, co napotkał. Szpola, względnie zamożna, posiadająca handel pomyślnie rozwinięty, wygląda teraz jak po przejściu nieprzyjaciela. Okna i drzwi w domach powybijane, sprzęty połamane; przy sklepach legły stosy towarów, na które rzuciło się mnóstwo bab i dzieci. Przyczyną rozruchów podobno była bójka między jakimś włościaninem a Żydem. „W czasie pogromu — pisze korespondent *St. Pet. Wied.* — wyrzucano na ulicę kosztowne towary, które niezwłocznie oblewano naftą. Aksamity, jedwabie, futra kosztowne wrzucano do beczek od oliwy. Beczki z winem wytaczano na ulicę i rozbijano. Inna część rabusiów niszczyła lokale. Meble, lustra, pościel, pierzyny itd. — wszystko to niszczono i wyrzucano na ulicę. Pieniądze rabowano. W domu Rabinowicza zrabowano rs 6,000 w gotowiźnie, a rs. 7,000 w walorach. Niszczono nietylko większe i bogatsze sklepy, lecz ubogich sklepikarzy. Na ulicach wytworzyła się masa, zbita z mieszaniny cukru, nafty, win, kosztownych tkanin, puchu, oliwy, masła itp. Pogrom trwał bez przerwy aż do przybycia wice-gubernatora z kozakami. Poczem przyjechał gubernator kijowski i prokurator. Znaczną część winnych zaburzeń ukarano doraźnie rózgami, innych zakuto w kajdany i odesłano do Zwinogródka.“ Straty można ocenić w przybliżeniu na rs. 1,000,000 i podobno niewątpliwą jest rzeczą, iż pogrom przygotowany był zawczasu i obmyślany. „Obraz zniszczenia zupełnego przedstawiają domy Brodzkiego, Rafalowicza, Czarnobylskiego i innych. Okna, drzwi, kosztowne meble, lustra, fortepiany, wszystko tworzy kupę gruzów. W domu Rafalowicza okradziono kasę, z której zabrano sporo pieniędzy. Dnia 1 marca przybyli nowi rabusie, którzy zastąpili tych, co rabowali dnia poprzedniego. Synagog nie oszczędzono także. Popołudniu nie było już co niszczyć. Nadeszły też depesze o przybyciu gubernatora, innych władz i kozaków. Tymczasem lud ze wsi okolicznych napływał w znacznej ilości. Puszczano pogłoskę, że nie zabraniają rabować majątku Żydów. Włościanie zabierali, co się dało i śpieszyli z tem do domów. Dnia 1 marca Żydzi zaczęli uciekać całemi masami na dworce kolejowe. Dopiero po przybyciu kozaków obraz się zmienił. Włościanom nie pozwolono kraść. Dużo zrabowanych rzeczy znaleziono u włościan okolicznych. Wypadki ostatnie nic ustępują w niczem wypadkom z roku 1881. Różnica cała polega na tem, że gdy w miastach większych byli czynni wówczas przybysze, to obecnie—mieszkańcy miejscowi i okoliczni, świadomi szczegółów i wiedzący, gdzie i co zrabować można! Tem też należy tłómaczyć fakt, że niektóre domy pozostały nietknięte. Są to domy Żydów, którzy dają zarobki ludności chrześciańskiej przy dostawach produktów i innych przedsiębiorstwach. Gdy duchowny miejscowy z krzyżem w ręku błagał włościan, żeby zaniechali rabunku, odpowiadali: „Ojcze, daj nam pohulać“ i rabowali dalej. Wreszcie korespondent dodaje, że rabin ze Szpoły wezwał miasta sąsiednie do składek na rzecz Żydów szpolskich. Składki napływają, a władza działa energicznie.“

Kaługa. Korespondent *Warsz. Dniew.* opisuje „uprzywilejowane“ warunki bytu Polaków w Kałudze. W jedenastu powiatach mają oni 95 posad korzystnych. We wszystkich działach pracy administracyjnej można znaleźć Polaków. W akcyzie zajmują stanowiska inspektorów okręgowych i kontrolerów; są notaryusze i sekretarze zjazdów powiatowych. W leśnictwie rządowem zajmują posady leśniczych i ich pomocników, w medycynie — miejsca lekarzy powiatowych. Są Polacy farmaceuci, komisarze sądowi, naczelnicy ziemscy. Ci ostatni właściwie zrzekli się swej narodowości. Kupili oni majątki, pożenili się z Rosyankami i postanowili zostać Rosyanami. Nie upłynął jeszcze rok, jak stworzono nową posadę ziemskich inspektorów asekuracyjnych i oto Polacy — jak pisze korespondent — pierwsi zajęli owe stanowiska. „Słowem dość jest stworzyć jakąś nową posadę, dającą pewne znaczenie społeczne i oto w liczbie pierwszych kandydatów przychodzą Polacy. Nieraz jeden i ten sam kandydat figuruje w różnych miejscach.“ Ci Polacy, którym się nie udało zdobyć posad rządowych, zajmują miejsca buchhalterów, kantorzystów, mechaników w wielkich majątkach lub fabrykach. „Jeżeli trudno znaleźć w Kałudze Polaków-rzemieślników, trudniących się rzemiosłem niepopłatnem, to w powiatach nie ma ich wcale; tu Polak zawsze albo rozkazuje, albo spełnia jakąś lepszą czynność.“ Wogóle Polacy, zarówno w Kałudze, jak i powiatach, zajmują niepoślednie stanowisko społeczne, ale stosunki z Rosyanami są naciągnięte i oficyalne. Pomimo, że wielu Polaków posiada wysokie ukształcenie i odznacza się wielką uprzejmością, stosunki ich z Rosyanami nigdy nie są nacechowane serdecznością. Prawda, że nikt o tem głośno nie mówi, nikt tego wyraźnie nie ujawnia, ale zarówno Rosyanie, jak i Polacy, zdają sobie z tego sprawę. Sprawiedliwość każe dodać, że Polacy, którzy sobie utrwalili stanowiska materyalne w Kałudze lepiej, niż w stronach rodzinnych, pod względem potrzeb religijno-materyalnych, nie mogą również się uskarżać, gdyż posiadają kościół i dwu księży.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Stowarzyszenie pomocy artystów w Warszawie liczyło r. z. 376 uczestników, z których 64 należało do kategoryi emerytów i emerytek i 312 do członków zwyczajnych. Z kategoryi pierwszej było mężczyzn 35, kobiet 29. Ogółem wypłacono emerytur w sumie 3,887 rs. Majątek stowarzyszenia wynosi rs. 66,656. Zysk czysty 3,440.

— Na grobie Edwarda Jelinka złożono wieńce od kilku pism polskich, od „Koła polskiego,“ „Ogniska“ i „Klubu polskiego“ w Pradze, od dyrekcyi teatru krakowskiego, artystów teatru krakowskiego i lwowskiego. Nad grobem przemówił po polsku prezes ogniska, p. Floryański. Wszystkie książki swojej biblioteki oraz niemieckie „Slavica“ Jelinek zapisał bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Wszelkie duplikaty, według woli testatora, przekazane będą bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy nauczycieli i nauczycielek wyznania mojżeszowego w Warszawie.

— *Kuryer Warsz.* donosi, iż grono inżenierów i innych pracowników, mieszkających we Władywostoku z powodu budowy kolei Syberyjskiej, zwróciło się do jednego z księgarzy warszawskich o zorganizowanie czytelni ruchomej pism i książek.

— Zatwierdzono stopnickie Towarzystwo spożywcze pod nazwą „Oszczędność.“

— Senat rządzący wyjaśnił, iż nabywca majątku ma prawo wytaczać sprawy karne przeciwko osobom, które zrządziły szkodę (w danym wypadku wyrąb lasu) przed nabyciem dóbr, o ile sprzedawca nie zastrzegł w kontrakcie sprzedaży, iż prawo poszukiwania za szkody do niego należy.

— Pracownicy na polu fotografii postanowili założyć Towarzystwo wzajemnej pomocy fotografów, którego działalność obejmie nietylko Warszawę, lecz i prowincyę. Podobno jeden z właścicieli zakładów już złożył na to pewien fundusz. Ustawę opracuje adw. przys. p. Emil Waydel.

— W ciągu r. z. w przytułku dla rekonwalescentów w Warszawie znalazło czasowe utrzymanie całodzienne i noclegi: 521 chrześcian (278 mężczyzn i 243 kobiet), 654 Żydów (440 m. i 214 k.), czyli razem 1,175 rekonwalescentów, których utrzymanie kosztowało rs. 4,635 kop. 40. W tymże czasie wpływy ogólne z procentów, składek członków i ofiar wynosiły rs. 8,589 kop. 39, a wydatki rs. 8,040 kop. 58. W końcu r. 1896 ogół majątku w gotówce, papierach procentowych i ruchomościach wynosił rs. 22,076 kop. 49½ (w porównaniu z r. 1895 więcej o rs. 2,147 kop. 52½). Lista członków przytułku obejmuje 145 nazwisk (33 członków czynnych, 79 honorowych i 33 protektorów).

Szkoły. W Warszawie powstaną dwie nowe szkoły handlowe: jedna 3-klasowa niższa, druga 7-klasowa średnia.

— *Kuryer Warsz.* donosi, iż podano do p. kuratora okręgu naukowego liczne prośby o egzaminowanie przed wakacyami kandydatów do klasy wstępnej gimnazyów tutejszych, gdyż przystępując do egzaminów po wakacyach, nie mogą korzystać z wypoczynku i muszą spędzać całe lato w Warszawie. Tymczasem zdrowie wielu z nich wymaga pobytu na świeżem powietrzu. Podanie ma być złożone niezwłocznie po przyjeździe p. Ligina do Warszawy.

— Dyrektor szkoły mechaniczno-technicznej w Warszawie, p. Mitte, zwrócił się do zarządu kanalizacyi i wodociągów z prośbą o przyjęcie podczas wakacyj kilku wychowańców tego zakładu na praktykę przy robotach.

— Egzaminy wychowańców prywatnych, pragnących otrzymać świadectwa z ukończenia kursu szkół realnych, odbędą się r. b. tylko w Łowiczu i Kaliszu. Do szkoły realnej w Warszawie kandydaci postronni nie mogą mieć wstępu z powodu znacznej

liczby uczniów miejscowych tudzież kandydatów ze szkół prywatnych Trejdosiewicza i Górskiego.

— Dzienniki petersburskie żądają uniwersytetu w Wilnie. *Głasnost* i *Now. Wr.* uważają ten zakład za naturalną potrzebę rozległego kraju i rzecz pożyteczną w sprawie szkolnictwa.

— *Birż. Wied.* donoszą, iż w r. b. ma być stanowczo rozstrzygnięta sprawa nauki obowiązkowej dla nieletnich robotników fabrycznych i rzemieślniczych.

— Ministeryum oświaty zaproponowało kuratorom okręgów naukowych urządzenie internatów przy wszystkich gimnazyach i progimnazyach.

Konkurs. Redakcya *Echa Muzycznego* w celu uczczenia setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, ogłasza konkurs na pieśń: a) jednogłosową i b) na chór męzki do słów dowolnie wybranych z poezyj wieszcza. Głównym warunkiem jest melodyjność, któraby zapewniła szeroką popularność. Termin nadsyłania prac oznaczono na 1 listopada r. b. Nagrody dwie: za najlepszy utwór, pieśń chórową, rs. 60, za jednogłosową — rs. 40.

Wystawy i zjazdy. Pomiędzy 1 a 22 maja r. b. w Londynie otwarta będzie międzynarodowa wystawa samochodów.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyi orzekło, że o ile eksploatacya kolei Wiedeńskiej będzie prowadzona tak prawidłowo, jak dotychczas, nie przejdzie ona do skarbu przed rokiem 1899 (*Torg. Prom. Gaz.*).

— Według rozkładu letniego, do stacyj pierwszorzędnych pociągi osobowe nie będą przychodzić, ani też stamtąd wychodzić w nocy.

— Poruszono projekt urządzenia w wagonach klasy II osobnych przedziałów dla chorych, głównie udających się latem do miejsc kuracyjnych.

— *Gazeta Polska* zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, grożące podróżnym: „Na kolei Terespolskiej po katastrofie pod Chotyłowem przez czas jakiś zaprzestano używać do jazdy w pociągach pośpiesznych wagonów kolei Brzesko-Moskiewskiej, z powodu wielkiego ich zniszczenia, co, jak sprawdziła komisya śledcza, było przyczyną wypadku. Obecnie znowu są w użyciu przy pociągach kuryerskich stare i bardzo zniszczone wagony, które ze względu na bezpieczeństwo publiczne, powinny być wycofane z kursu, szczególnie w porze obecnej, gdy linia cała ma grunt rozmiękły."

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu poczyni ważne ułatwienia w sprawie urządzania gorzelni rolniczych: pozwoli zakładać nowe i puszczać w ruch zakłady dotąd nieczynne w obrębie skarbowej sprzedaży okowity, pod warunkiem pędzenia jej w takiej ilości, na jaką pozwala średnia norma, tj. 200,000°, czyli 5,000 wiader po 40° na okres.

— Zniżono stopę procentową od sola-weksli rolniczych w Banku państwa.

Ucieczki. Pisma donoszą, iż w więzieniu miejskiem w Nowym Dworze zamknięto kilkunastu aresztantów, a pomiędzy nimi kilku przysłanych z rozmaitych aresztów jako oskarżonych i świadków do miejscowego sądu pokoju. W nocy dziewięciu uwięzionych wyłamało ścianę i zbiegło. O takich wypadkach czytamy dość często. Czyby nie wypadało dla bezpieczeństwa publicznego pobudować więzień o mocnych ścianach i drzwiach? O ile wiemy wszelkie areszty są to liche szopy drewniane, które łatwo kilku złoczyńców może rozwalić. Pożądany byłby także lepszy nadzór, bo przecież wywalenie ściany, chociażby nadgniłej, wymaga czasu i sprawia hałas, który może obudzić strażników.

Katastrofy. W pobliżu przylądka Hatteras zatonął parowiec towarzystwa transatlantyckiego, „Ville de Saint-Nazaire." Zginęło około 70 ludzi.

— Na wybrzeżu kornwalijskiem w pobliżu wyspy Newaquay zatonął statek hamburski, „Syracus," z załogą 40 ludzi.

Zmarli. Antoni Thomson - Abbadie, w Paryżu: członek Akademii nauk w sekcyi geografii i żeglugi. Główne prace jego: „Geodezya części Etyopii górnej," „Obserwacye, dotyczące własności fizycznych kuli ziemskiej w Brazylii i Etyopii," „Słownik języka ambareńskiego" (Ambara — prowincya Abisynii).

— Mabellini, we Florencyi; znany kompozytor muzyczny. Stworzył kilka oper. Przeważnie oddawał się muzyce religijnej.

Odpowiedzi Redakcyi.

H. S. Wierszyki zgrabnie rymowane, ale barwy i wyrazistej obrazowości w nich brak.

Panu A. B. w Paryżu. Zamieścimy.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 19—24 dzieła Dalemagno'a p. t. **Człowiek zwyrodniały.**

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 14 Марта 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.